Z pod pyłu wieków

I.

SOKRATES

Książkę zdobił Jan Bukowski.

Drukarnia Narodowa w Krakowie.

Andrzej Niemojewski

Z pod pyłu wieków

I.

SOKRATES

Warszawa 1906 - Nakładem Księgarni Powszechnej
Marszałkowska 139.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Декабря 1904 г.



NOC NA AKROPOLU.

Pomiędzy kolumny Partenonu pada zielony zalew światła księżycowego. Powietrze jest parne. W stronie morza przelatują po niebie błyskawice.

Między kolumnami przechadzają się: starzec pełen powagi i mąż lat trzydziestu. Starzec ma czoło Dzewsa, skupione, nabrzękłe myślą; mąż kroczący obok niego ma twarz Satyra, na której mienią się ustawicznie trzy wyrazy: melancholja, mądrość, ironja.

Demos ateński skazał mistrza na wygnanie. O wschodzie słońca opuści miasto na zawsze.

Uczeń chwyta uważnie każde jego słowo. Natężył myśl jak pergamin; bo na tym pergaminie mistrz wypisuje ostatnie słowa swej wiedzy.

Jest to też zarazem może ostatnia noc tego dziwnego życia, które bujnie zakwitło na Akropolu. Strzeliło śmiało, nadziejnie. Nagle twarda ręka Demosu sięgnęła z dołu brutalnie, aby je zdusić. Wyrywa najpiękniejszy kwiat umysłowości i ciska za morze do odległego Lampsakos.

Pozostanie wprawdzie Perykles i Aspazja, pozostaną Mnezykles, Fejdjasz, Eurypides, Tukidides, Sokrates. Ale wydzierają im Anaksagorasa. Odbierają im spokój, plączą im myśl, płomienny genjusz zamieniają na jakiegoś męczennika.

Wszyscy czują, że w ich dążeniach nastąpi jakaś zmiana. Oni męczennikami nie chcą być. Nie dlatego, iżby się lękali jakiegoś cierpienia, czy śmierci. Nie! cierpień, śmierci, nie obawiają się. Oni w ogóle nie wiedzą, co to jest jakaś obawa. Myśl, polot, czyn, wymaga swobody. Męczeństwo paczy to wszystko.

Męczeństwo jest smutne. Genjusz tryska weselem. Męczeństwo nawet nie jest tragiczne. Męczeństwo czyni mniejszym.

Męczeństwo to tylko charakter. A oni przedewszystkiem czczą genjusz i jego poloty.

. . . .

Ale Anaksagoras zapomniał w tej chwili o Demosie, Atenach i o srogim wyroku.

Anaksagoras myśli i mówi.

A gdy mówi, myśl jego jak ramię cyrkla dotyka wielkiej tarczy księżyca, opiera się o srebrne guzy gwiazd, mierzy po firmamencie drogi; wychyla się za widnokrąg, szukając w ciemnościach wielkiej aureoli słońca.

Z kolei myśl jego zamienia się w ostry nóż, który przecina zjawiska i ukazuje ich wnętrze. Przecina w ten sposób wszystkie rzeczy nieba i wszystkie rzeczy ziemi.

Potem myśl jego zamienia się w miarę i mierzy stosunki wszystkich zjawisk na niebie i na ziemi. Potem bada stosunki tych stosunków.

Nareszcie myśl jego zamienia się w czułą wagę. Na jedną szalę rzuca drobiny, na drugą idee. Potem zdejmuje drobiny i zamiast nich kładzie także idee. Waży idee ideami.

Zda się, że starzec ten jest świadomością świata. Że co przyroda zamierza wykonać, to on umie pomyśleć. Ateny! oddajcie mu Akropol a ludzkość legnie u waszych stóp.

Ale Ateny ulękły się tego rozumu i zapragnęły go zgładzić. Anaksagoras został oskarżony o bezbożność.

Bezbożność? Jakże oskarżenie to brzmi brutalnie! Jakże niezdarnie zostało sformułowane! Za bezbo-

żność prawo naznacza karę śmierci. Ciemne Ateny! Żali czara cykuty jest argumentem?

Żali można rozum zgładzić? Ślepe Ateny! Tam obok Anaksagorasa kroczy młody Sokrates. Mistrz znalazł już ucznia i następcę. Jesień przekazuje swoje nasiona wiośnie.

Szlachetny Perykles wybłagał, że karę śmierci zamieniono na wygnanie. Anaksagoras odpłynie do Lampsakos. Ale pozostanie Tukidides, który będzie roztrząsał wasze dzieje. Pozostanie Eurypides, który będzie roztrząsał wasze sumienia. Pozostanie Sokrates, który będzie roztrząsał wasze rozumy.

Ateny! Mogłyście zostać kosztowną urną, napełnioną skarbami umysłowości, a z własnej woli zamieniłyście się w pachoła, który wiąże, prowadzi na statek i spycha w morze.

. . . .

Między Erechtejonem a Partenonem stąpają powoli w świetle księżyca jak dwa zjawiska: mąż do Apolina podobny i niewiasta, której piękność została zamieniona w posąg Bogini-Opiekunki.

Ale posąg ten zamknięty jeszcze w pracowni Fejdjasza. Nie rychło wniosą go do Partenonu.

Oburzeni Ateńczycy dobijali się nawet do drzwi pracowni. Zawrzało na Akropolu. Lecz i tym razem powstrzymał ich Perykles ognistą wymową swoją. Dobijali się następnie w mieście do drzwi

Aspazji. Lecz i przed temi drzwiami zastali Peryklesa.

Ateńczycy wiedzą, że z ust jego idą błyskawice. Ale i z umysłu jego idą błyskawice. A także z mężnej jego prawicy idą błyskawice.

Ateny liczą się z Peryklesem. Dzięki polityce tego niepospolitego męża utrzymali się przy wyspach Lesbos, Chios, Samos. On sprawił, że skarbiec miasta jest pełen. Grozi wojna ze Spartą, z Beotami; niema prócz niego męża, któryby mógł piastować godność stratega.

On zabudował Akropol świątyniami. Wszak pełno tam jeszcze odprysków marmurowych. Dzięki jego zabiegom wyrasta w Atenach drugi lud, lud posągów.

Perykles jest kochankiem Demosu. Demos czci go jak półboga. Demos ustępuje mu. Ale niech i on choć w części liczy się z obyczajami Demosu.

Dlaczego broni bezbożnego Anaksagorasa? Dlaczego zezwala hańbić boginię obliczem Aspazji? Dlaczego nad prawowitą małżonkę wyżej stawił hetajrę?

Demos się burzy.

Pomruk ludu, obiegający ulice Aten, równa się pomrukowi odległego gromu, który w tej chwili rozlega się w stronie morza.

W Atenach zawsze warczy grom i warczy lud. Perykles to wie. Dlatego na krok nie oddala się od Anaksagorosa. Zaręczył za niego.

Przed wschodem słońca sam mu przypomni. Sam go odwiezie do Pireusu. Sam go odprowadzi na statek.

Perykles spojrzał w stronę śpiących Aten. Głusza tam teraz, bo nastała noc. Ale jakże jest w Sparcie? Tam głusza trwa i w dzień słoneczny. Tam rządzi bezduszna Dawność starych rodów i nic powstać nie może.

Więc Perykles rozpętał w Atenach Demosa, dał mu w rękę rządy, wygnał Dawność i mniemał, że zapewnił oddech swobodny wszelkiej Nowości.

Ale omylił się.

Demos, wychowany śród zapachu skór, śród zaduchu straganów i śród wyziewów winiarń, nie odczuwał czystego klimatu wiedzy, balsamicznego powiewu sztuki i słonecznej pogody wolności moralnej. Lada krzykacz obali Anaksagorasa. Lada wróżek wykaże bluźnierstwo w dziele Fejdjasza. Lada zbogacony piekarz będzie żądał wydalenia z miasta dziwnemi talentami wyposażonej hetajry.

. . . .

A ta hetajra dotyka w tej chwili miękką ręką ramienia Peryklesa i odwodzi wzrok jego w północną stronę Akropolu.

Perykles spojrzał. Powiała na niego stamtąd pustka. Brwi jego zbiegły się.

Aspazja szepnęła:

— Propyleje...

Błysk pytający strzelił z oczu Peryklesa. Wtedy Aspazja poczęła mówić mu o kolumnach, akantusach, architrawach, o pięciobramnym portyku, o olbrzymich wschodach marmurowych, piętrzących się wyżej i wyżej.

Przed myślą Peryklesa dźwigał się w oddaleniu cud architektoniczny. Budziła się w jego duszy tęsknota do urzeczywistnienia tego cudu.

Aspazja budowała dalej słowem plastycznem. Wznosiła rzędy kolumn, wieńczyła je głowicami o pękach marmurowych liści, łączyła je architrawem a na wierzchu umieściła spiżową kwadrygę z rozhukanemi rumakami.

Na twarz Peryklesa wystąpiły lekkie ognie. W stronie morza błysnęło. Twarz bohatera nagle sposępniała.

Szepnął:

— Mamże to robić dla tego ciemnego tłumu?

— To się robi dla całego świata! — odparła z dumą hetajra.

W pobliżu stał człowiek, przepasany skórzanym fartuchem. Głowa jego była zasypana pyłem. Lewą dłoń wspierał na biodrze a w prawej dzierżył młot. Patrzył również od niejakiego czasu w stronę owej pustki.

— Mnezykles! — zawołała Aspazja.

Człowiek w skórzanym fartuchu obrócił głowę a następnie jął się powoli zbliżać. Perykles tłoma-

czył mu. Potem wskazał na Aspazję. Wtedy twarz onego człowieka nabrała szczególnego blasku. Patrzył to na hetajrę, to w kierunku owej pustki.

Ona zaś, uniósłszy nieco głowę, wykładała swą myśl. Dobywała z wyobraźni gotowe kształty i ustawiała je w oddaleniu. Mnezykles mierzył okiem odległości, ustosunkowywał rozmiary, obliczał wysokości.

Tej nocy świetlistej hetajra dała ateńskiemu Demosowi jedną z najśmielej pomyślanych ozdób architektonicznych. Akropol miał wyglądać jak marmurowy sen.

. . . .

Między karjatydami Erechtejonu stoi pogrążony w cieniu Fejdjasz.

Aspazja mówi. Więc go nawet nie przeczuwa. On zaś z ukrycia patrzy ku niej całą potęgą swego chwytnego wzroku. W ciemności źrenice jego tworzą dwie zielone plamy. Prawą rękę wciąż kurczowo zaciska i otwiera.

Księżyc, który świeci w samym zenicie, rzuca z góry blaski na oblicze mówiącej Aspazji. Głowa jej jest lekko wzniesiona a profil rysuje się tak wyraźnie, tak bosko, tyle w nim majestatu, panowania i piękna, że Fejdjasz z rozpaczą zbił ręce nad czołem a potem twarz ukrył w dłoniach.

Po chwili spojrzał raz drugi. Profil ten mieni

się w powietrzu jak zjawa. To już nie oblicze, ale wizja.

Fejdjasz przymknął oczy a potem skierował głowę w ciemność i spojrzał, aby się przekonać, czy pamięta. Po chwili, tam, w ciemności, począł mu się zarysowywać ów profil, mienił się tą nadzwyczajną linją, szlachetną, majestatyczną.

Coś nim szarpnęło. Zbiegł szybko za gmach Erechtejonu, pchnął drewniane drzwi zbitego z desek szaletu i spojrzał.

Do wnętrza wlała się powódź światła modrego i oblała posąg z kości słoniowej, widny również z profilu, uderzająco podobny do Aspazji.

Tak. Nad brwiami linja czoła lekko zachwiana.

Zbyt gruba. Zbyt uliczna.

Ale jedno, dwa muśnięcia dłutem...

U licha! Demos może miał słuszność, że nie uznał tej twarzy.

Demos jest głupi; ale czasem dobrze widzi.

Fejdjasz chwycił kredę i stanął przed deską drzwi. Popatrzył na posąg, potem w przestrzeń przypomnienia i zaraz potem znowu na deskę drzwi. Następnie westchnął i jednym śmiałym ruchem — pociągnął linję.

Kreda wypadła mu z ręki. Oparł się o ścianę i oddychał ciężko, jak gdyby wąż, co mu ściskał gardło, zwolnił kręgów.

I natychmiast wyprostował się dumnie. Jak król spojrzał dokoła. Czy tam kupią się tłumy? Nie!

Sam jest! Jeszcze niema nikogo, jeszcze nikt nie wie o tej nadzwyczajnej linji. I było mu tak, jak gdyby w tej samotni, zalanej modrem światłem, odniósł jedno z największych zwycięstw ducha ludzkiego.

Siadł w progu wyczerpany. Wsparł na obu rękach płonące czoło. Ale po chwili, gnany wewnętrznym niepokojem, wstał. Linja ta wprawdzie nie przepadnie. Ale dopiero żyje na desce. Jutro wykona ją na posągu.

To jutro jest bliskie. Bliskie i krótkie. Na jedną linję? Fejdjasz mimowolnie sięgnął po rylce i począł się pilnie przypatrywać ich ostrzom.

Wybrał jeden, dotknął ostrza palcem. I zaraz pochylił się nad toczydłem. Dolał wody do korytka. A potem, lewą ręką obracając korbę, prawą ręką przyłożył rylec do toczaka.

Dał się słyszeć syk ostrzonej stali.

Fejdjasz rozgorączkowany popatrywał wciąż to na posąg, to na toczak, to na deskę drzwi z ową linją.

. . . .

Po stronie południowej Partenonu siadł na tarasach marmurowych Eurypides. Od postaci jego pada w bok cień.

Twarz mroczna. Oczy wpatrzone w modrą przestrzeń.

Dokoła Akropolu majaczeją w jasności miesięcznej Lykabetos, Helikon, Areopagos. Na wzgórzach cisza, noc, melancholja.

W spiżowej twarzy Eurypidesa widny jakiś tragizm. To, co ma w tej chwili przed oczami, napełni kiedyś sceny Hellady grozą i szałem.

Blask księżyca staje się trupi a kolumny Partenonu są podobne do rzędu ustawionych piszczeli.

I oto na promieniu księżyca płynie do Helikonu w stronę Areopagu biała Elektra.

Głowa jej opadła na piersi. Tunika rozwiewna jak obłoczek. Podobna jest do niesionej lilji z pochylonym kielichem.

Przepływa nad marmurowemi tarasami Partenonu. W owisłej ręce trzyma nóż a z tego noża kapie krew i znaczy ślad czarnemi kroplami na bieli pentelikońskiego głazu.

Z za węgła wychodzi Orestes. Sunie jak cień. Cały jest jak w ludzkie kształty zmieniony słup dymu.

Twarz błędna. Rzuca lękliwie oczami na wszystkie strony. Co chwila staje i nasłuchuje.

W powietrzu odzywają się dalekie wołania. Nadlatują Erynje.

Orestes ogląda się przerażoną twarzą. Stara się obejść niepostrzeżenie spady gmachu. Wtedy w powietrzu odzywa się gruby śmiech.

Orestes poczyna drżeć na całem ciele. Wrzawa

w powietrzu rośnie. Słychać świsty wężów. Rozlegają się jęki człowieka mordowanego.

Orestes wyciąga przed siebie ręce i biegnie na oślep.

Ale naprzeciw lecących Mścicielek wychodzi z pomiędzy kolumn Medea. Twarz jej posępna jak kraina Podziemia.

Wskazuje Mścicielkom morze, gdzie Jazon wsiada na okręt, aby odpłynąć do Koryntu i pojąć za małżonkę piękną córkę Kreona.

Jakże to śmie uczynić Jazon? Czemże Medea? Czemże jej dzieci?

Oto te dzieci wybiegają z pomiędzy kolumn ku matce, czepiają się rączynami jej szat, ufne twarzyczki podnoszą ku strasznym oczom rodzicielki. Trójca Mścicielek zatrzymała się w powietrzu. Patrzą ku Medei i czekają.

One zawsze czekają. A gdy się spełni zbrodnia, wtedy dopiero gnają z jękiem, oburzeniem i wrzawą.

Czemu nie powstrzymają Jazona w szalonym zamiarze? Czemu nie zatopią w przystani statku jego? Czemu wężami nie oplączą wiarołomnego męża, nie odprowadzą z powrotem do zdradzonego ogniska domowego, gdzie prawowita małżonka i dzieciny?

Medea bluźni Mścicielkom. A one wciąż czekają i milczą.

Jazon wsiada na okręt. Żeglarze rozpinają żagle, wiatr je wydyma a statek na pełne popycha morze.

Medea ściąga brwi. W oczach jej latają ognie. A Mścicielki wciąż na nią patrzą i czekają.

Medea drze tunikę w pasy. Potem pasami temi okręca szyje dziecin. Ręce jej zaciskają się kurczowo; ciągną, ciągną strasznie. Oczy dzieci wychodzą z oczodołów.

W powietrzu zawrzało i umilkło.

Znikła Medea z poduszonemi dziecinami. Znikły Mścicielki.

Tylko dźwiga się stos otoczony kapłanami, wojownikami, ludem. Na stosie skrępowana postać dziewicza. To Ifigenja.

Przybrana kwiatami. Sągi drew osypane kwiatami. Cały stos tonie w kwiatach.

Kapłani leją miód i śpiewają. A potem jeden z nich przybliża czerwoną pochodnię do drewek. Pada blask na kwiaty, bije w górę na mdlejącą Ifigenję.

Kurzawa czarnego dymu zasłania czerwień, ukwiecony stos i ludzką ofiarę. Kwiaty zwijają się w czerwone języki, sągi strzelą niekiedy pękającemi iskrami.

Niesłychana wrzawa rozlega się w powietrzu, śpiew, dzwonienie mieczów i wrzawa.

Ale ta wrzawa już jakby w dole, już jakby w bezmiernej głębi, niżej i niżej.

Bo dym czarny poczyna w górze jaśnieć, kształtować się i zwolna przybierać postać Ifigenji, kołysanej na obłoczkach, uśpionej słodkim snem, unie-

sionej z objęć żrącego ognia w krainę nieśmiertelnych mitów.

. . . .

Dokoła pusto. Cała przestrzeń między Lykabetem, Helikonem i Areopagiem wypełniona nocną modrością. Na tarasach Partenonu siedzi Eurypides. Od jego postaci pada w bok cień. Oczy wlepione nieruchomo w pustą przestrzeń. Tej nocy ujrzał to, co grozą i szałem napełni sceny Hellady.

. . . .

Przy murze zamkowym stoi Tukidides. W lewej ręce tabliczka, w prawej rylec.

A jako pamiętnikarz Hellady pilnie pogląda na dumającego Eurypidesa, śledzi Fejdjasza, ostrzącego dłuto w swym szalecie, patrzy za Peryklesem i hetajrą, uważa na Mnezyklesa. Potem kieruje wzrok na Anaksagorasa i Sokratesa, którzy przechadzają się tam i z powrotem po północnej stronie kolumnad Partenonu.

Księżyc dobiegł już do postrzępionego górami widnokręgu a na wschodzie niebo zajmowało się pierwszemi płomieniami jutrzenkowemi.

Budzi się ptactwo z uśpienia, ćwierka i świegoce. Wysoko nad Akropolem dzwoni w błękitach skowronek.

Eurypides powstał. Wyszedł z szaletu Fejdjasz. Aspazja i Perykles zbliżają się do Partenonu. Podchodzi także Mnezykles i Tukidides.

Otaczają Anaksagorasa. Ściskają go kolejno za rękę. Ściska go Sokrates i Eurypides, Perykles i Aspazja, ostatni ściska go Mnezykles.

Żegnają go ze wzruszeniem i on ich ze wzruszeniem żegna. Z twarzy Sokratesa uchodzi wyraz ironji i pozostaje tylko melancholja.

Anaksagoras obrzucił ostatniem spojrzeniem Partenon, Erechtejon, Lykabetos, Helikon. Popatrzył na niebo Akropolu, a także na niewdzięczne Ateny w dole jeszcze nieco zmroczone.

Schodzi z Akropolu, otoczony gromadką przyjaciół. Tukidides chyli się przez mur i patrzy za nimi.

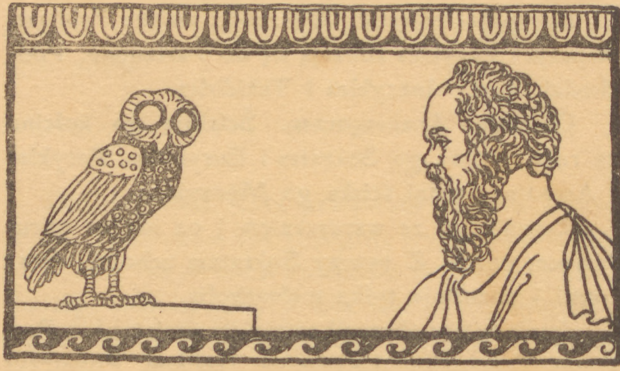
Zdaje mu się, że to Genjusz Grecji zstępuje z świętej góry i oddala się w stronę morza, aby więcej nie wrócić.

Maleją w dole i w oddaleniu. Już tylko są jako zwyczajna gromadka robaczków ludzkich.

Tylko obłoczek kurzu unoszący się z pod ich stóp znaczy powoli ich drogę.

Teraz już nawet zniknęli w tym obłoczku.

Tukidides westchnął. Położył tabliczkę na murze i drżącą ręką począł rylcem skrzypieć po niej. Skreślił datę nowego dnia i prócz tego dwa słowa: »Anaksagoras wypędzony.«



DAJMONIUM.

Wśród gór Beocji w rozległej kotlinie Euryposu stanęły przeciw sobie dwa bratnie wojska. Morze głów, hełmów, dzirytów. Jeszcze jest spokojne, bo mrok porankowy ćmi kotlinę.

Tam w dole wódz ateński Hippokrates obiega na białym koniu szeregi. Tam Laches na koniu gniadym lewe ustawia skrzydło. Tam Alkibiades na koniu karym oblatuje jak kruk skrzydło prawe.

I cisza jeszcze jest; tylko tętent słychać owych trzech galopujących koni. Tylko tupot kroków słychać, gdy szeregi z miejsca na miejsce przechodzą.

Po drugiej stronie kotliny stoi wojsko Beotów. Wyglądają zdaleka niby chmura brunatna. Nie chcą uznać zwierzchnictwa Ateńczyków, sami sobie żyć pragną i panować. Ateńczycy zmogli Spartę; może Beocji ustąpią.

W głębi przewija się stalowa wstęga Eury-posu. A kołem, kołem rozległem na górach śród krzewów i gąszczy kryją się niewiasty Beotów i starcy i dzieci. Patrzą w dół; słychać niemal, jak serca ich biją niepokojem.

Tam w głębi ojcowie, bracia, syny. Za chwilę słońce wejdzie nad górami, za chwilę ruszą na siebie te dwa wojska, te dwa morza głów, hełmów, dzirytów.

Jedne niewiasty, przysiadłszy, mają twarz skamieniałą a oczy błędnie w przestrzeń zwrócone. Inne stoją a ze spokojnych twarzy spływają łzy dwoma strumieniami. Inne tulą się sobie wzajemnie w objęcia.

Jedna, otoczona gromadką innych, przemawia z zapałem. Druga znowu legła twarzą do ziemi i szlocha. Trzecia siedzi na kamieniu, otoczona dziatkami, pieści je a niekiedy wznosi rękę w dal i okropnie przeklina.

Na kijach wspierają się starcy i w głąb popatrują. Jeden z nich, ślepiec, ustawił na kamieniu obok siebie wnuczka siedmiolatka. Starzec uchem będzie rozpoznawał postępy bitwy; wnuczek źrenicą orlika będzie mu dopomagał. Starzec, aby lepiej słyszeć, odemknął nieco usta, a głowę w bok przechylił. Chłopak dygoce na całem ciele; strach go zbiera a jednak czasem błysk zapału zaświeci mu w oku.

Wtem na wschodzie niby czerwona ręka uka-

zało się słońce. Niebawem też w dole rozległa się wrzawa okrzyku bojowego »allalà, allalà«.

Wojska ruszyły naprzeciw siebie.

I oto natychmiast wstały z głębi kotliny dwie ściany kurzu, zbliżały się ku sobie, aż się z sobą złączyły i utworzyły jeden niesłychany słup, prostopadłą górę kurzawy. Zakotłowało się morze hełmów i włóczni. Wzdął się istny huragan szczęku i wrzawy.

Teraz ona góra kurzu ćmi się w miejscu; tylko stawała się coraz tęższą i coraz wyższą, aż przerosła szczyty okalające kotlinę, gdzie ją wiatr rwał i niby dym niósł w stronę morza.

Dziadek kładzie rękę na ramieniu wnuczka i mówi:

— Nic nie widać?

— Nic, dziaduniu.

— A rozpoznałbyś naszych?

— Tak, bo wyszli z prawej strony.

— Ale mogą się zmieszać.

— Nasi są bardziej rośli, tamci bardziej zwinni.

— Patrz dobrze i mów zaraz wszystko.

— Kurzawa stoi w miejscu i całą kotlinę przysłania.

Tuż koło nich szlochały kobiety i dzieci zaczęły piszczeć.

— Cicho tam!

— Cicho, nie płakać!

Jakaś matka wyskoczyła na głaz i jęła krzyczeć:

— Poco im nie ustąpili! Poco nie zgodzili się na ich żądania! Pozabijają nam mężów, ojców, synów, wdowami i sierotami zostaniemy!

W tem chłopak krzyknął z kamienia:

— Kurzawa cofa się do Euryposu!

Nastało głuche milczenie.

Starzec mówił do wnuczka:

— Patrz dobrze. Dlaczego do Euryposu? Kto kogo prze? Czy nasi, czy Ateńczycy?

— Kiedy nic dojrzeć nie można.

— Czy kurzawa po prawej nie cofa się?

— Nie, dziadku.

— A po lewej?

— Także nie, dziadku.

Słońce wzbiło się już wysoko i z góry lało światłość w kotlinę. Góra kurzu stała się jak pośniedziałe złoto.

— A teraz co widzisz?

— Teraz coś się kłębi po lewej.

— Widzi mi się, wnuczku, że nasi prą tamtych.

— Tak, dziadku, nasi prą tamtych.

Szczyt góry ożywił się, biegano na wszystkie strony i wołano:

— Nasi prą! Nasi prą!

Kobiety powyskakiwały na skały, poprzykładały ręce do oczu, bo słońce raziło. I nagle cały szczyt zawrzał namiętnym okrzykiem:

— Prą nasi! prą ich!

Podniosły się z ziemi szlochające kobiety. Matki chwytały dzieci na ręce i biegły na wyższe miejsca.

Jedna, wyciągając ramię w głąb, wołała do niemowlęcia, trzymanego na ręku:

— Patrz, patrz, tam twój ojciec, ojciec twój, zapamiętaj, ojciec twój prze Ateńczyków, bije Ateńczyków, tępi Ateńczyków!

Góra kurzu drgnęła w miejscu i jęła się wolno posuwać w stronę Euryposu, ale już całkiem wyraźnie, całkiem dla wszystkich widocznie.

Szał ogarnął okoliczne góry. Powstała na nich wrzawa, że onego huraganu w dole nawet słychać nie było.

Zdawało się, że niewiasty chwycą w ręce odłamy skał i ruszą za mężami do boju. W oczach dzieciaków widne były błyskawice a twarzyczki stały się jak natchnione.

— Prą nasi Ateńczyków, prą!

Słońce poczęło z zenitu staczać się na drugą połowę nieba a ona góra kurzawy posuwała się dalej i dalej.

Wtedy wszystko, co żyło, jęło szczytami biedz na drugą stronę kotliny.

— Dziadku, ja tam polecę!

— Ani się waż!

— Dziadku, puść!

— Nie puszczę, stratują cię, albo w dół ze skał spadniesz.

— Dziadku, ja tu umrę!

— Co widzisz, mów?

— Oto że nic już nie widzę, to chcę lecieć tam, lecieć, dziadku!

Słońce płonęło już na samej krawędzi gór, czerwone, ogromne, niby okropna, skrwawiona pięść, grożąca nad skłóconą Helladą.

A po szczytach wrzało: »nasi prą, nasi prą, nasi prą!«

Kurzawa w oddaleniu stawała się coraz przejrzystszą, coraz niższą, opadała, nikła, aż ukazało się bojowisko zasłane trupami i tylko w głębi szalała jeszcze skotłowana masa wojsk w szczęku i wrzawie.

. . . .

A w dole zarumieniły się stalowe wody Eurypesu. Krew zlewała się do nich szerokiemi potokami.

Droga krew Hellady, ciepła krew.

Co chwila gasło jakieś młode życie niby gorejąca pochodnia zanurzona w wodach.

Na przestrzeni wielkiej kotliny leżeli młodzieńcy o posiniałych twarzach. Jęki rannych przepełniały powietrze gorzką skargą. Zalegały pole włócznie strzaskane, hełmy rozbite, miecze poszczerbione, tarcze pogięte.

Bój ustał dopiero po zachodzie słońca. Beotowie wyparli Ateńczyków daleko od pobojowiska. Ale gdy zwycięstwo ich stało się jasnem, gdy Ateńczycy zupełnie im ustąpili, wtedy posłali do nich, aby się zabrali wspólnie do grzebania trupów.

Rozpalono ognie. Pobojowisko przedstawiało obraz pełen grozy.

Wszedł księżyc. Zdawało się, że Hellada zamieniła się w posępną krainę Hadesu.

Znoszono rannych w jedno miejsce. Wódz Hippokrates, siadłszy przed białym domkiem, płakał.

Sława Ateńczyków zgasła jako ten dzień, co dopiero uszedł za góry.

Obok owego białego domku rozniecono duże ognisko a dokoła niego zgromadziła się starszyzna, radząc o dniu następnym.

Prawie każdy odniósł jakąś ranę, o której jednak w tej chwili nie myślał. Panowało ogólne podrażnienie. Wszelką radę poddawano gniewnej krytyce.

Bo nie masz nieszczęśliwszej chwili dla wszelkiej rady, jaką jest ta, która następuje po przegranej.

Ufność w sercach ludzkich wypaliła się do cna. Gniew bezsilny targał piersią. Każde usta mówiły: oto dziś rano wszystko przedstawiało się jeszcze całkiem inaczej!

Ale przyszedł wieczór tego dziś a z nim pole

zasłane trupami, sława jako piękny kwiat zdeptana a w sercu żal, żal...

Wodzowie przerywali co chwila spory i rozglądali się, gdyż w bardziej oddalonych stronach pobojowiska powstawały rozpaczliwe krzyki, klątwy, hałasy. Przyłapywano włóczących się obdzieraczy trupów i uśmiercano na miejscu.

Sokrates walczył mężnie, ustępując z pola w zwartym szeregu. Ciągle był u boku Lachesa, który nadaremnie starał się powstrzymać popłoch wojsk.

Żołnierze podziwiali odwagę i wytrwałość uczonego. Skoro zapadająca noc położyła koniec walce, stracono go z oczu.

Alkibiades konno oblatywał pole, wołając go po imieniu. Kiedy przebiegał około domku białego, żołnierze jęli na niego kiwać rękami i wskazywać w stronę ogniska.

Stał tam rzeczywiście Sokrates. Stał samotny i zapatrzony w ścianę domu.

Alkibiades uspokoił się. W pierwszej chwili chciał go zagadnąć; ale zauważył, że mędrzec jest zajęty jakąś myślą. Ruszył tedy do rzeki, aby się obmyć z krwi i kurzawy.

Kiedy wrócił, Sokrates stał wciąż na tem samem miejscu, zapatrzony w jeden punkt. Znowu go tedy nie zaczepiał, jeno udał się do namiotu swego, aby słudze oddać konia i spożyć posiłek.

W czasie zmiany wart raz jeszcze zbliżył się

do białego domku. Sokrates stał wciąż na tem samem miejscu.

Zauważyli to wszyscy, nawet wodzowie. Ale nikt mu nie przeszkadzał, tem bardziej, że męstwo filozofa i zimna jego krew w boju nieszczęśliwym zjednały mu powszechny szacunek.

. . . .

Sokrates rozstał się z Lachesem w tem właśnie miejscu i miał przodem podążyć do jego namiotu. Ale uwagę jego zajęło zjawisko, nad którem kto inny wcale by się teraz nie zastanawiał.

Bo oto na białej ścianie domku, rozjaśnionej księżycowem światłem, przesuwały się cienie krzątających się opodal ludzi. A gdy rozpalono ognisko, które na ścianę rzuciło czerwień, przesuwanie się cieni było jeszcze bardziej widoczne.

I nietylko cienie poszczególnych ludzi odbijały się na ścianie, ale całych grup. Widać było wodzów, siedzących obok siebie na ziemi i żywo poruszających rękami. Widać było pachołków, przynoszących im wodę w hełmach. Widać było, jak wodzowie hełmy ujmowali w obie ręce, jak przykładali usta, jak pili, przerywając nieraz i kłócąc się ze sobą.

Widać było ludzi, niosących rannych. Widać było, żołnierzy przybywających z wieściami i rozbiegających się z rozkazami. Wszystko to przesu-

wało się żywo po ścianie, wszystko to miało kształty bardzo zbliżone do rzeczywistości, a jednak rzeczywistością nie było, jeno bezbarwną i niemą złudą — cieniem rzeczywistości.

Sokratesowi żywo stanęła w pamięci owa ostatnia noc na Akropolu, kiedy toczył pożegnalną rozmowę z Anaksagorasem.

Już wtedy błąkała mu się po głowie myśl, że nie wszystko jest tak, jak Anaksagoras głosił. Słuchając pilnie uwag mistrza o charakterze przyrodzenia i charakterze umysłu ludzkiego, popatrywał z uśmiechem ironji na dwie plamy, które, gdy księżyc im świecił w plecy, posuwały się przed nimi po marmurowych płytach między cieniami kolumn, a gdy księżyc świecił im w oczy, pełzały za nimi.

Już wtedy zdawało mu się, że oczy ludzkie widzą z przyrodzenia tylko tyle, ile onych cieni; że każda rzecz przedstawia się różnie a nigdy właściwego oblicza swojego nie ukaże. Ale nie śmiał w chwili rozstania niepokoić mędrca, który, za naukę swoją prześladowany i na wygnanie skazany, jemu głównie zdać pragnął swoją myślową spuściznę. Mówił wtedy jak człowiek umierający. A umierającemu się nie przeczy.

Ale uczeń buntował się przeciw nauce mistrza. Ta bezwzględna wiara w swój wzrok, słuch i dotyk, wydawała mu się mocno podejrzaną. Jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że świat nie może być tylko liczbą, ciężarem, kształtem. I ten sam głos

mówił mu, że władza człowieka nie kończy się na granicy jego ciała. Dziwna to władza! Ilekroć Sokrates spojrzał w plecy jakiegoś hoplity, ten zawsze się obejrzał i prosto wzrokiem na jego oczy trafiał.

Z ciężkiem tedy sercem żegnał wówczas Anaksagorasa, który, gdyby się był dowiedział, co uczeń mniema o jego wiedzy, byłby przeklął Helladę i proch wszelki po niej z szat swoich otrząsnął. Byłby rzeczywiście mniemał, że kraj ten jest skazany na zagładę jako bratobójczy i na wieki, na wieczyste wieki ciemny...

Ale i Sokratesowi ciężyła głowa od tych myśli a długo się z niemi borykał. Dziś wszelako, po tej okropnej walce, która minęła jak krwawy sen, której szczegóły już zacierały się w pamięci, która w tej pamięci żyła jak chaotyczny obraz, jak te cienie przesuwające się tam po ścianie, dziś czuł w całej pełni, że nauka Anaksagorasa bynajmniej nie daje odpowiedzi na cały szereg pytań pierwszej wagi. Gorzej jeszcze! Nauka ta pomija je a nawet odwodzi od nich.

Anaksagoras patrzył w świat a nie patrzył w siebie. Tak wierzył w przenikliwość zmysłów swoich a one są jako kłamliwi a gadatliwi słudzy, którzy, wysłani na zwiady, wracają z worem bałamutnych plotek, ale nie z wiadomościami rzeczywistemi, jak owi na zwiady ubiegłej nocy do Beotów wysłani ludzie, którzy Ateńczyków przypra-

wili o okropną przegraną. I zaprawdę! Tyle tylko te sługi powiedzą, ile owe cienie, przesuwające się po ścianie, powiadamiają o tem, co się za plecami dzieje. I przeciwko tym sługom, tym zmysłom, burzy się całe wnętrze surowo myślącego człowieka. Widzi, że nie ich panem, ale sługą jest, sługą swych własnych sług; onym dziwnym gospodarzem, co to zajmuje się plotkami, znoszonemi przez swoich niewolników.

Około północy cienie spełzły ze ściany, bo ognisko przygasło i księżyc się schował. I oto niema nic a w duszy wre, w duszy zamęt, w duszy poczucia, przeczucia, cała nieuchwytna gra sił, potęg, wołań, błagań, żalów, skarg. Skoro jednak wsłuchać się w tę wewnętrzną wrzawę, skoro wsłuchać się uczciwie, jedno wołanie góruje nad wołaniami wszystkiemi, jedno jakieś wieczyste, nieśmiertelne, wciąż to samo powtarzające, ono dziwne, ono szczególne — Dajmonium.

Wszystko się zmienia, wszystko mija jak sen. Pozostaje tylko ten jeden jedyny pewnik: jakieś Dajmonium w człowieku, które mówi mu, co ma począć śród tej mięszaniny przesuwających się cieni.

To Dajmonium jest tak niezależne od ludzkiej woli, ludzkiej myśli i ludzkiego rozumu, że gaśnie przy niem ów Wszechrozum obliczalny Anaksagorasa. Nie! Jeżeli jest jakieś nieobliczalne Dajmonium człowieka, pyłu, prochu wobec ogromu bytu,

to istnieć musi jakieś niesłychane, tem mniej obliczalne Dajmonium świata.

Nie mary błędne, które Charon wiezie przez czarne wody Podziemia, skąd chóry żab Arystofanową komedją skrzeczą swoje brekekeks-koaks-koaks... Już Arystofanes-śmieszek to uchwycił!

Nie rody Świetlistych, zapijających roskosznie nektar na Olimpie, którego szczyt Sokrates zdeptał, ale prócz pastuchów i trzód nic tam nie znalazł, owych Świetlistych, których ludzie mogą oszukiwać, jak to już stary Homer doskonale wyśpiewał!

Nie! Tam, za firmamentem, za jarzącemi gwiazdami, tam kryje się Dajmonium świata. Próżno Anaksagoras słał oczy leniwe do słońca, w którem głaz rozpalony postrzegał. Nigdy człowiek tego nie docieknie, nigdy tego nie zbada. Cienie, cienie, cienie, sen i złuda!

Ale cząstka tego Wielkiego Dajmonium osiadła w każdym człowieku i zwiastuje mu, że jest coś, co te cienie wytwarza i odbicie ich powoduje na ścianie doczesności.

Te pola usłane zwłokami młodzieńców, te wzgórza, śród których przebrzmiała wrzawa bojowa, Beotowie, Ateny, Hellada, cienie, cienie, cienie.

Śród tych cieni wiedź, Dajmonium, ukazuj drogę, oczyszczaj uczucia, prostuj myśli! Hellado! Czy słuchałaś głosu swego Dajmonium?

Ateny! Czy Beotowie byliby was tak pokonali,

gdybyście się nie uganiali w chciwości nieposkromionej za czczemi cieniami?

Anaksagorasie! Zasada twoja wiedzie do pogoni za cieniami. Zasada twoja jest nietylko błędna, ale i zła. Ateńczycy w życiu mierzą, liczą i ważą cienie. Anaksagorasie! Ty w nauce mierzysz, ważysz i liczysz także tylko cienie.

Anaksagorasie! Ty wprowadzasz gminność do wiedzy...

Zagłuszyłeś w sobie głos owego Dajmonium. Cień zbuntował się przeciwko swojej przyczynie.

Źle uczynili Ateńczycy, skazując ciebie na wygnanie. Ale czy nie szeptał im jakiejś rady głos ich Dajmonium? Tylko że głos ten źle zrozumieli, źle radę pojęli...

Anaksagorasie! Dziś sam złączony już jesteś z owem Dajmonium Świata i błąd swój niezawodnie najlepiej widzisz. Powiedz zatem, o niewidzialny, żali śród tego morza cieni nie jest wszystkiem ów głos wewnętrzny?

I powiedz jeszcze, gdy Sokrates będzie to Helladzie głosił, żali nie ocknie się w niej uśpione Dajmonium? Żali wtedy znajdzie się ręka, któraby wyciągnęła do mędrca czarę cykuty, albo wiązała go, prowadziła na statek i spychała w morze?...

. . . .

Znowu zmieniano straże a Sokrates stał nieporuszony na jednem miejscu.

Charykles, który straże rozstawiał, oraz Anyitos, który mu w tem dopomagał, załatwiwszy swą czynność popatrzyli na Sokratesa.

— Dziwny człowiek, — szepnął Charykles.

— Gdybym kiedykolwiek zyskał wpływ w Helladzie, — rzekł Anyitos, — nie uczyniłbym go najstarszym kapłanem wyroczni delfickiej, wszelako — —

Tu zawahał się a dziwny uśmiech wypłynął na jego jakby zawiędłą twarz. Charykles, który ten uśmiech podchwycił, rzekł:

— Miej odwagę dokończyć. Wszelako?

— Wszelako kazałbym wyroczni, aby go ogłosiła za największego mędrca na ziemi.

— W jakim celu?

— Bo on jest uczciwy ale zabobonny. Kto rządzi, ten uczciwym być nie może. Natomiast potrzebuje dokoła siebie zabobonnej uczciwości.

— Obyś nigdy nie posiadł w Atenach wpływu a posiadłszy, zawiódł się na tym myślicielu!

— Obyś umarł, nim do wpływu dojdę. Bo w gadatliwości swojej wypaplałbyś mu tajemnicę Delf.

— A wtedy?

— Wtedy z tego myśliciela stałby się człowiek straszny.

. . . .

A Sokrates stał wciąż nieporuszony na jednem miejscu.



CHAJREFONT.

Działo się w przecudnym miesiącu kwietniu, kiedy cała Attyka osypuje się kwieciem różnobarwnem a święte jej powietrze przesycone jest parnością i upajającemi zapachami.

Chajrefont wczesnym rankiem opuścił Ateny.

Akropol, najeżony marmurowemi świątyniami, płonął jeszcze rumieńcem wschodzącego dnia. Po modrem niebie tu i ówdzie żeglowały białe obłoczki, znikając w miarę tego, jak się słońce podnosiło nad lesiste góry.

Od przydrożnych cyprysów wiał chłód rzeźwy.

Chajrefont szedł krokiem równym, jak idzie człowiek, udający się w dłuższą podróż. Piwne jego oczy patrzyły gdzieś w przestrzeń ku widziadłom, które się dokoła niego roiły na tle malowideł przyrody.

A w miarę tego, jak szedł, jak te widziadła stawały się liczniejsze i wtórą rzeczywistość stano-

wiące, pierś jego wznosiła się uczuciami, które niewidzialna siła krzewi w człowieku.

Uczucia te niby płonki nabrzmiewały pąkami, otwierały kielichy swoich kwiatów, siejąc dokoła klimat tajemniczy, że kto wchodził w jego obręb przejmował się ich tchnieniem, oddychał ich świeżością i sam stawał się jakimś wiosennym człowiekiem.

Bo w życiu młodzieńca nastąpił przełom a nastąpił niedawno. Została mu odkryta wiedza, którą przeczuwał, odkąd jeno począł myśleć własnemi myślami.

Ukazano mu, że po za światem dotykalnym, ozdobionym górami, kwieciem i miłością, istnieje jeszcze jakiś świat inny, bliżej nieznany a większy i trwalszy. Dowiedziono mu, że to, na co patrzy, mimo całego piękna swego jest tylko mdłem odbiciem tamtego świata, który jest światem istotnym i nieprzemijającym.

I odkryto mu, że w nim samym jest ów pierwiastek istotny a wieczysty.

Wtedy zdało mu się, że jest jako świątynia, w której zamieszkał tajemniczy bóg. Pragnął więc, aby nigdy tej świątyni nie skalał, bo tem samem skalałby mieszkające w niej bóstwo.

I poczuł w sobie świętość i namaszczenie. Ale nie te, które się innym narzucają; jeno te, które odchodzą na miejsce samotne, aby wznieść myśl

ponad doczesność w wieczystą krainę mądrości i piękna.

On przecież tyle ziem przewędrował, tyle ludów poznał, tyle uczelni nawiedził! Przypatrzył się palestyńskim nebi, którzy koczowali śród skał, okryci włosiennicą i brudem, którzy z pustelń swych rzucali wciąż gromy przekleństw na kazirodczy i bratobójczy świat a świat ten mimo ich gromień wcale się nie zmieniał, jeno onych nebi ubijał kamieniami. Chajrefont przeto nie przejął się naukami owych nebi.

Widział wędrownych guru, którzy z nad brzegów Gangesu zachodzili w głąb Syrji i Libji, cudami swemi odwracając porządek w przyrodzeniu. Ale gdy odchodzili w inne okolice, znikały razem z nimi owe cuda i nic po nich nie zostawało, prócz gadaniny śród pospólstwa i wątpliwości śród myślicieli. Chajrefont przeto nie zdumiewał się nad ich władzą.

W świątyni pod Tebami widywał kapłanów Amona, którzy wykreślali na papyrusach pochody wszystkich gwiazd, które to pochody przypominały raczej zataczanie się pijanego człowieka, chodzącego raz przodem, to znowu tyłem, a niekiedy kręcącego się w okółko. Przeto Chajrefonta nie pociągała ich mądrość.

Dopiero w Atenach spotkał człowieka, który właściwie nikogo nie upominał, który w przyrodzeniu cudami porządku nie odwracał, który za-

wiłych epicyklów po papyrusach nie kreślił, a przecież w kilkunastu słowach wykładu dał mu to, czego lata całe szukał.

Człowiek ten dał mu wiedzę o duszy i jej niezniszczalności.

To nie była wiedza gminna o duchach, któremi przepełnione były wszystkie mity, o tych duchach ograniczonych, błąkających się bezradnie nad brzegami Styksu, chciwych ludzkich ofiar, chłeptających świeżą krew kozy lub barana, albo połykających mączne objaty. To była wiedza o tym pierwiastku niewidomym, niezniszczalnym, prawiecznym a istotnym, wedle którego wszelaki byt się kształtuje.

Kłamią oczy, kłamią uszy, kłamie dotyk; jeno ten pierwiastek nie kłamie. Ale głos jego słabo do człowieka dochodzi, bo człowiek przez wieki oduczył się go słuchać i wyczuwać.

Jest dusza człowieka i jest dusza świata. Jest nareszcie ukazane źródło wszechrzeczy i nadzwyczajna jego bliskość.

Teraz dopiero Chajrefont, otrzymawszy tę wiedzę, byłby biegł do owych palestyńskich nebi, byłby szukał owych guru z nad Gangesu, byłby rozprawiał z kapłanami Amona. Bo znalazł drzwi, przez które wyszedł z jakiegoś ciemnego gmachu na świat rozległy i widny, świat wiosny wieczystej, nieśmiertelnego istnienia, w którego przestwo-

rach rozlegał się jeden ogromny głos: byłeś, jesteś, będziesz!

Więc niepotrzeba włosiennicy i brudu, niepotrzeba okrwawionych kamieni szalejącego tłumu, aby pozyskać wielkość. Niepotrzeba gminnego cudu, aby zyskać władzę. Niepotrzeba wewnątrz świątyni zawiłych epicyklów a zewnątrz całego systemu oszukaństwa, aby zyskać mądrość i posłuch.

Mądrość jest tak prosta, tak cicha, tak naturalna!

A przedewszystkiem mądrość jest tak pogodna! Głosił ją człowiek nie mający nawet szaty na zmianę a zawsze zadowolony.

Owa mądrość zapewniała rzecz największą, zapewniała — niezależność!

Przeszłość, Teraźniejszość i Przyszłość są jako trzy skrzydła, na których w przestrzeni unosi się ów pierwiastek niezniszczalny, istotny, wyzwalający z wszelkich oków.

— Niezniszczalność to Wolność!... wyszeptał Chajrefont i powiódł ręką po czole, gdyż dobił do najdalszej granicy swego myślenia i uczuł lekki zawrót.

. . . .

W tej chwili mimowolnie skierował głowę w lewo, bo zdało mu się, że ktoś koło niego kroczy.

Lewym brzegiem Drogi Świętej, wiodącej do

Eleusis, dążyła jakaś dziewczyna z kwiatem pomarańczowym w ręce.

Miała na sobie tunikę różową, podpasaną pod wypukłemi piersiami. Stopy były przybrane w żółte sandały a miękki rzemień, owijając łydkę, uwydatniał jej powaby.

Kruczy włos, ujęty z tyłu głowy w węzeł, tworzył ciemną aureolę dokoła twarzy, która była jakby utkana z matowego obłoku.

A ponieważ dziewczyna weszła teraz na tło gorejącego w zachodzie słońca, przeto kruczy włos dokoła jej twarzy zajmował się tą jasnością i ciemna aureola stawała się coraz bardziej świetlistą.

Sunęła jak istota nadziemska, jak mieszkanka Olimpu, która każdej chwili może unieść się z ziemi w przestwory eteru i zniknąć.

Chajrefont patrzył na zjawisko, nie zdając sobie sprawy, jak długo to trwało.

W ten sposób doszli do Słonego Jeziora. Rozstąpiły się ściany skalne z wotacyjnemi tablicami i wnękami. Rozpostarła się przestrzeń a droga była teraz jak popielata wstęga, rzucona między dwie przepaści błękitów wodnych.

Wstąpili na tę wstęgę.

W tej też chwili obróciła się ku Chajrefontowi twarz pątniczki i padło na niego spojrzenie, które szarpnęło jego sercem.

Mimowoli złożył ręce i postąpił ku niej.

Wtedy twarz pątniczki rozpromieniła się nie-

biańskim uśmiechem. Usta, nad któremi czernił się puch, rozchyliły się i młodzieniec posłyszał:

— Tyś Chajrefont?

Chajrefont zdumiał.

— Znasz mnie?

— Znam. Zostałeś uczniem Sokratesa.

— Skąd o tem wiesz?

— Bywałam w Atenach. A zresztą — ja wszystko wiem. I ty kiedyś będziesz zawsze wszystko wiedział.

— Jak ci na imię?

— Alkesta.

— Piękne imię!

— Piękne i twoje.

Teraz milczeli czas jakiś a Chajrefont rozmyślał nad tem, pod jakim pozorem ująćby ją za rękę. Nie śmiał a pragnął.

Wtem ona podała mu kwiat pomarańczowy.

— Lubisz?

— Kwiat, czy ciebie?

Spojrzeli sobie w oczy. Fala krwi uderzyła do głowy Chajrefontowi i przyćmiła mu wzrok. Chciał przed Alkestą upaść na kolana. Ale miał wrażenie, jak gdyby znikła mu na chwilę.

Gdy się opamiętał, znowu szli popielatą wstęgą Drogi Świętej pomiędzy dwoma błękitami wód, zatoki Salamińskiej i Słonego Jeziora.

Chajrefont pocierał czoło a Alkesta rzekła:

— Znużony jesteś?

Chajrefont zaprzeczył.

Dziewczyna uśmiechnęła się. On znowu pokraśniał i także się uśmiechnął, sam nie wiedząc dlaczego. A potem zapytał:

— Gdzie dom twój?

— Jestem obecnie bezdomna.

— Jak brzmi imię ojca twego?

— Zdaje się, że Anaksagoras. A może Trazybul.

— Mówisz niezrozumiale.

— Bo wszystko, co się od lat kilkudziesięciu dzieje w Helladzie, jest niezrozumiałe.

— Nie żyjesz kilkudziesięciu lat.

— Nie, na pewno nie...

— Mówisz, że bywałaś niekiedy w Atenach?

— Od czterech lat Ateny nie mogą ochłonąć po zwycięstwie nad oligarchją.

— Tak. Jest to istne upojenie.

— Wypędzono trzydziestu tyranów a miast nich pojawiło się tyranów dwadzieścia tysięcy.

— Mówisz jak Trazybul.

— Bo też tu opodal jest jego dom.

— Gdzie?

— Tam, nad zatoką, gdzie gaj tych cyprysów.

— Widzę, że żywo ciebie obchodzą sprawy publiczne.

— A ciebie nie?

— Nie...

— Czy nie lękasz się, że tak postępując możesz stać się igraszką niewiadomego?

— Sądziłbym raczej, iż odwrotnie. Gdyby mnie porwał prąd polityki, stałbym się igraszką tego mętnego nurtu.

— Jesteś nim już!

Chajrefont uśmiechnął się i zamilkł jak człowiek, który tak głęboko jest przekonany o słuszności swych mniemań, że nie uczuwa potrzeby przekonywania innych.

Alkesta jednak zmrużyła uśmiechnięte oczy i patrząc w niebo spytała jakby od niechcenia:

— Idziesz do Delf?

Chajrefont przystanął i popatrzył na nią zdumiony.

— A ty skąd o tem wiesz?

— Ja wszystko wiem.

— Tego nikt nie wie!

— Prócz Anyitosa...

Chajrefont przygryzł wargi.

— Prócz Lykona...

Chajrefont podniósł na nią zdumione oczy.

— Prócz Meletosa...

Chajrefont zdrętwiał.

— Prócz mnie...

Ale natychmiast dodała, jakby zagadując:

— I prócz Diotimy, serdecznej przyjaciółki Sokratesa, która ci nawet odradzała.

Chajrefont spuścił głowę i szedł w milczeniu

dalej. Alkesta, idąc obok niego, mówiła jakimś szeptem, niecącym zaufanie przyjacielskie:

— Udajesz się do Delf pytać wyroczni. Wiem także, o co ją chcesz pytać. A chociaż pragną tego źli ludzie, mimo to idź. Źli ludzie przerachują się a dobrzy niesłusznych doznają obaw.

— Anyitos nie jest złym człowiekiem.

Alkesta rozśmiała się i rzekła:

— Dzieciak jesteś!

Wyrażenie to zupełnie rozbroiło Chajrefonta, który począł się także śmiać.

— No, chyba oboje nie możemy z powodu lat domagać się jakichkolwiek przywilejów!

— Powiedziałam: dzieciak jesteś, a nawet nie zauważyłeś, dlaczego, aczkolwiek pragniesz być tajemnicznym.

— Skądże to?

— Powiedziałeś: Anyitois nie jest złym człowiekiem.

Chajrefont przygryzł wargi.

— Więc cóż?

— Była to odpowiedź na moich złych ludzi.

— A zatem?

— A zatem Anyitos radził ci iść do Delf.

Chajrefont zbladł.

— Wracam. Nie idę do Delf.

— Pójdziesz; bo przy tej sposobności przekonasz się, co to są Delfy.

— Nie chcę wiedzieć!

— A zresztą może i nie dowiesz się...

— Czemu znowu ta wątpliwość?

Właśnie skończyła się popielata wstęga między błękitami wód. Wstąpili w gaj oliwny. Słońce zaszło a niebawem zajaśniał światłem swojem księżyc okrągły.

Alkesta nie odpowiadała wciąż na ostatnie pytanie Chajrefonta a on za nią szedł jak człowiek, pociągany tajemniczą siłą.

Na skraju zatoki Alkesta siadła. Chajrefont dobył chleb i owoce. Częstował pątniczkę. Ale ta odmówiła. Natomiast jęła obłamywać gałązki mirtowe i pleść z nich wieniec.

Chajrefont długo wpatrywał się w jej twarz a następnie szepnął:

— Więc żądasz i ty, abym szedł do Delf?

— Powinieneś tam iść.

— Dlaczego ty tego się domagasz?

— Powiedz, lubisz bajki?

— Lubię.

— To opowiem ci jedną z najdziwniejszych bajek. A choćbyś jej nie zrozumiał, pojmiesz ją kiedyś i dziwić się będziesz.

Chajrefont uczuł w tej chwili, że głos jej jest niby muzyka. Przechylił się na wijące się wszędzie bluszcze, podparł czoło ręką, wpatrzył się w Alkestę i słuchał.

Najpierw milczała jak pierwszy instrument w orkiestrze, kiedy już inne instrumenty poczynają swój

śpiew przeciągły. Grą tych instrumentów był szelest gałązek mirtu, cyprysu i oliwki, poruszanych leciuchnym zefirkiem. W dole szeptało morze, na którem mieniło się tysiące błyskotliwych zwierciadełek. Na pagórkach i dolinach noc snuła senne marzenie. Śród muzyki wód, poszeptu gałązek i drżenia promieni księżycowych ozwała się złota harfa dziewiczego głosu mową czarowną, równą, tą mową helleńskiego śpiewnego głosu dziewicy.

Alkesta, wijąc wieniec, mówiła.

. . . .

»Żyła w Atenach Wolność. Była młoda i śmiała. Kochało ją niewielu.

»Ale przedewszystkiem kochał ją Perykles, bohater. Bo nieprawda, żeby on kochał tylko Aspazję. Tak mówił Charykles. Ale mówił niesłusznie.

»Z jej pomocą Perykles poskromił oligarchję. Lecz dziesiątki lat trwająca wojna peloponeska wycieńczyła kraj. Zdziczały obyczaje, upadła nauka i sztuka, ubóstwo wyzierało z każdego domu ateńskiego.

»W tym zamęcie oligarchja zdobyła sobie dawne znaczenie i wypędziła z Aten Wolność. Trzydziestu tyranów rządziło Atenami, podając co chwila komuś truciznę.

»Zwłaszcza Charykles i Krytjasz poczynali sobie okrutnie. Ale nie brakło mężów, którzy się

im opierali. Zyskał wtedy powszechne uznanie Trazybul a także Sokrates. Demos widział w nich obrońców wypędzonej Wolności.

»Powstało sprzysiężenie szeroko rozgałęzione. Co słowem począł Sokrates, to mieczem skończył Trazybul.

»I znowu zawrzała walka bratobójcza. Ale tym razem Demos zwyciężył.

»Ale Demos ten nie miał nad sobą Peryklesa, bohatera. Natomiast podlegał ludziom, którzy powiedzieli: Wolność jest nam niepotrzebna. Nam jest potrzebna Równość.

»Wypędzono tedy z Aten Wolność a wprowadzono Równość, którą Demos uwieńczył laurem.

»Równość tedy chodziła tryumfalnie po ulicach. Lecz nie wystarczał jej dzień. W laurach na skroni kładła się nawet nocą do łoża.

»Stała się lękliwą i podejrzliwą. Z pod wieńca laurowego wyzierały oczy Argusa.

»W tym wieńcu i z temi oczami wchodziła na Pnyks, do Muzejonu. Wdzierała się na mównicę publiczną i do sądu. Stała się drażliwą jak pokrzywa. Paliła każdego swym ogniem, kto jej dotknął.

»Nie znosiła nikogo obok siebie. Była nałożnicą dwudziestu tysięcy wolnych obywateli, parwenjuszowską despotką dla czterystu tysięcy niewolników i zazdrosną o hołdy chórzystką wzglę-

dem dziesięciu tysięcy przebywających w Atenach cudzoziemców.

»Wprawdzie został wypędzony Krytjasz i Charykles, dwaj najsroższi oligarchowie. Ale panował za to Anyitos, bogaty garbarz, Lykon, ograniczony retor, i Meletos, który pisywał dytyramby na wszystkie narodowe uroczystości«.

. . . .

Chajrefont, słysząc te nazwiska, mienił się. Z Anyitosem łączyły go bliskie stosunki. Mniej wprawdzie bliskie z Meletosem i Lykonem, ale bądź co bądź widywał ich często u Anyitosa. Wszyscy trzej gorąco mu zalecali, aby się udał do wyroczni delfickiej. I również wszyscy trzej całą duszą popierali Sokratesa. Patrzył tedy na Alkestę z niemem przerażeniem. Już nie słyszał poszeptu fali morskiej, ani szmeru gałązek. Zniknęła dla jego oczu piękna okolica, zalana nocnem światłem. Patrzył w oblicze pątniczki, która wciąż wiła wieniec i z niezmiernym spokojem snuła swą opowieść dalej.

. . . .

»Szał upojenia nie mógł trwać długo. Musiała przyjść czczość. Ale odczuwali ją dopiero najmędrsi.

»Usunął się z Aten cały szereg mężów, zasłużonych około nowego porządku rzeczy. Usunął się

Laches, usunął się Trazybul. Na ich miejsce wdzierali się krzykacze i intryganci.

»Myśl szersza, myśl obywatelska, chcąca dźwignąć skołatany kraj z moralnego i materjalnego upadku, była wciąż oskarżana o zakusy despotyczne. Myśl filozoficzna była podawana jako zbytek, albo jako kierunek wrogi tradycji. Myśl polityczna, chcąca nawiązać przyjazne stosunki z innemi miastami, zwłaszcza wobec rosnącej potęgi Persów i Macedończyków, została zakrzyczana jako kosmopolityzm.

— »Grecja dla Aten, wołał garbarz Anyitos, który do najdalszych wysp wysyłał swoje skóry.

— »Grecja dla Aten! — wołał Lykon, który obok wymowy posiadał najznaczniejsze winnice i chciał jak najdłużej utrzymać obywateli w stanie upojenia.

— »Grecja dla Aten! — wołał Meletos, który w czasie rządu oligarchów mieszkał na przedmieściu w lepiance a teraz za hymny narodowe wystawił sobie w rynku marmurową willę i pożyczał na lichwę.

— »Skóra, wino i dytyramby mają w Atenach większą wagę, niż głos rozsądku — mawiał Trazybul, zamieszkawszy — o, tam! — w pobliżu Słonego Jeziora nad zatoką Salamińską i usunąwszy się zupełnie od życia publicznego.«

. . . .

Chajrefont był jakby oślepiony błyskawicami.

A temi błyskawicami były wywody Alkesty. Tak, Meletos rzeczywiście w niesmaczny sposób handlował poezją. Lykon niósł na sprzedaż wino i wymowę. Ale Anyitos?

Więc patrzył pytającym wzrokiem na twarz Alkesty, która w światłości miesięcznej stała się blada, jakby zaziemska, poważna, jakby oblicze Djany mająca. Wijąc wieniec mówiła teraz bardzo cicho, szeptem niemal.

. . . .

»Ale ani Meletos nie jest tak zły, ani Lykon tak grzeszny. A najmniej z nich Anyitos. Tylko żaden z nich nie miał w sobie duszy Peryklesa, bohatera. Chcieli bogactw, prawda, ale chcieli ich z Hellady. Nie będą ich mieli, jeśli Hellada zostanie nędzarką.

»To powiedział Anyitos. A nikt ich wtedy nie słyszał. Ateny mają panować nad Helladą. Ale jeśli będą ciemne, nie zdołają utrzymać w rękach hegomonji. Ateny nie mogą być ciemne.

»To powiedział Meletos. A nikt ich wtedy nie słyszał. Ateny potrzebują człowieka a nikt im trzem już w poprzek drogi nie staje. Więc człowiek, którego obiorą, będzie ich człowiekiem. Tak powiedział Lykon. A nikt ich wtedy nie słyszał.

»I obejrzeli się po całej Helladzie i po całych Atenach za takim człowiekiem. Wtedy oko ich padło na — Sokratesa.«

. . . .

Chajrefont tłumił w sobie oddech. Przy ostatnich słowach błysnęły mu jakieś uświadomienia, ale wnet zagasły. Pochylił się twarzą ku bluszczom i jął całować sandały Alkesty.

Ona włożyła mu uwity wieniec na głowę a następnie szepnęła:

— Idź do Delf... Idź, chociaż Anyitos się zawiedzie.

Chajrefont podniósł ku niej twarz przerażoną. Alkesta uśmiechnęła się melancholijnie i rzekła:

— Lękasz się o sławę Sokratesa? Nie, pod tym względem bądź spokojny.

Twarz jej przybrała nagle wyraz straszliwej ironji. Powtórzyła z naciskiem:

— Bądź zupełnie spokojny!

Chajrefont szepnął:

— Odjęłaś mi ów spokój. Wniosłaś burzę i niepewność do mojej duszy.

— Dusza twoja jest nieśmiertelna.

— Tyś słuchała nauki Sokratesa?

— Będę słuchała...

— Pójdź zemną do Aten, przystąp do grona jego uczniów.

Alkesta znowu się uśmiechnęła.

— Cóż na to powiedziałyby Ateny?

— W Atenach mieszka...

— Chciałeś powiedzieć: Wolność? Zapomniałeś,

co ci mówiłam przed chwilą. Ona z Aten uszła i błąka się między Dafnis a zatoką Salamińską.

Chajrefont wytrzeszczył oczy. Ale Alkesta mówiła:

— Poznać musisz Delfy...

— A ty znasz Delfy i ich tajemnicę?

Alkesta sposępniała, zapatrzyła się w dal zalaną światłem modrawem i powtórzyła wstrząsającym szeptem:

— Ja znam Delfy i ich tajemnicę...

Chajrefont chwycił ją za rękę. Ręka była zimna. Po chwili zdawało mu się, że sam w ręce wszelkie czucie stracił.

Alkesta otrząsnęła się.

— Mówmy o czem innem. Pora już.

Wiatr, marszcząc wody zatoki, trącał szemrzącą falą brzegi. Alkesta zmieniła twarz w uśmiech błogiej zadumy i rzekła:

— Słyszysz poszept morza? Jest to jak gwar nieskończoności.

W gaju począł śpiewać słowik.

Chajrefont czuł, jak ręka, którą w dłoni trzymał, ożywiała się i jęła bić ciepłem. Alkesta szybko uniosła głowę i szepnęła:

— Słyszysz? I on..

— Kocha...

Dokończył za nią Chajrefont i pochylił się do jej ust.

Ale w oczach mu się zaćmiło i miał znowu wrażenie, że pątniczka na chwilę znikła przed nim.

Potarł czoło ręką drugą. Alkesta patrzyła w morze i mówiła:

— Idź do Delf... A wtedy ja może pójdę do Aten...

I znowu twarz jej stała się ogromnie smutną.

Chajrefont zamyślił się i jął po chwili mówić w te słowa:

— Sokrates twierdzi, że należy zamykać oczy i zatykać uszy, albowiem zmysły łudzą i nie dają rozważnie myśleć. Tymczasem, gdy tak szepce morze, gdy mi tak szumią leciutko gałązki, gdy śpiewa słowik i ty mówisz, myśl moja żyje w jakiemś jasnowidzeniu...

— Sokrates mówi rozumnie, ale i ty mówisz rozumnie. Tęsknisz do nieskończoności? Ty może jesteś na drodze do niej... Ty...

Wyraz »ty« powiedziała znowu z dziwnym naciskiem.

Chajrefont wyciągnął rękę, ale jeszcze się zawahał. Alkesta obróciła teraz na niego oczy a spojrzenie jej stało się głębokie.

— Czas, aby to wszystko się stało, aby Sokrates zbadał tajemnicę Delf, abym ja wróciła do Aten, aby...

I urwała, jakby to ostatnie życzenie miało być wypowiedziane przez inne usta, wyśpiewane przez inne oczy, wyczarowane z przepaścistych tajemnic przez jakiegoś mitycznego bohatera.

Chajrefont czuł budzącą się w nim energję. Płomienie owiały jego głowę. Chciał uczynić jej wyznanie, ale głos uwiązł mu w gardle. Chwycił ją tylko w pół i zdało mu się, że się wcale nie broniła. Niebo jakieś otwarło się w jego duszy. Przez chwilę miał wrażenie, że bluszcze dokoła zamieniły się w perłowy obłok, że ulatuje na tym obłoku w błękity, w nieskończoność szczęścia.

I znowu zdało mu się, że Alkesta niknie mu w objęciach, że jest sam, że to wszystko jest tylko snem.

Wtedy otwierał oczy i patrzył. A ona wypływała ku niemu jakby z jakiejś mgły.

Posłyszał jeszcze szept:

— Idź do Delf i wracaj pospiesznie.

— Gdzie i kiedy ciebie odnajdę?

— Gdy Wolność będzie mogła wrócić do Aten.

— Wolność?

— Tak?

— Gdzie ona?

— Była tu z tobą przez znikomą chwilę...

Chajrefontowi wydało się, że ma przed sobą nie istotę żywą, ale zjawisko.

I znowu było mu tak, jak gdyby w blaskach księżycowych twarz jej znikała i pojawiała się na nowo.

Przetarł oczy. Sięgnął ku niej rękami. Ale sięgnął tylko w pustą przestrzeń.

Szepnął:

— Alkesta...

Cisza.

— Alkesta!...

Słychać tylko pienie słowika i gwar morza.

— Alkesta!

I słychać jeszcze lekki szmer poruszanych wietrzykiem gałązek.

Chajrefont czuł, że jakaś wizja pierzcha z jego umysłu i że otacza go ołowiany pomrok snu.

. . . .

W Świętym Gaju wznosi się potężna świątynia Apolina Delfickiego. Dęby rosochate sieją dokoła uroczystą ciszę.

Na marmurowe kolumny pada ukosem snop światła księżycowego, bieląc wielkie schody, po których wstępuje siwy kapłan w jasnej szacie, z długą, białą brodą i z wieńcem figowych liści na trzęsącej się od starości głowie. Reszta świątyni tonie w mroku.

Chajrefonta przechodzi dreszcz. Patrzy na niebo usiane gwiazdami. Patrzy na dęby stuletnie, na kolumny i schody, na wstępującego powoli kapłana. Wszędzie majestatyczna cisza, spokój, świętość.

Ukrył twarz w dłoniach. Skronie biją mu niby dwa młoty Hefajstosa. Ogarnia go lęk uroczysty. Każde drzewo jest jak żywe. Zdaje się, że każde ma twarz i oczy, któremi patrzy na przybysza.

Chajrefont nie śmie obejrzeć się za siebie. Coraz częściej przypominają mu się słowa Diotimy, że

bogów nie należy wyzywać. Niepokój jego rośnie. Ale już zapóźno.

Odejmuje ręce od twarzy. Patrzy w górę. Właśnie światło księżycowe pełzając po zrębie świątyni padło na wielki napis u fryzu.

Chajrefont, którego teraz zupełnie pamięć zawodziła, jął sylabizować: PO-ZNAJ SIE-BIE SA-ME-GO...

Siebie samego? Ależ to odpowiedź niemal Sokratesa Anaksagorasowi?

Słowa te wywarły na nim wrażenie wielkie. A zresztą, ilu pielgrzymów je czytało! Ilu słowa te otrząsały z pomroku myślowego...

W tej chwili posłyszał wymówione imię swoje. Wstał i jak nieprzytomny jął wstępować po schodach.

. . . .

Śród strzelistych ścian nawy panuje zupełna ciemność. Przed Chajrefontem zieje pieczara. Unosi się z niej jasny opar.

Opar ten w pierwszej chwili odurza. Chajrefont krztusi się. Ale niebawem przywyka, zyskuje swobodny oddech a nawet odczuwa jakieś nieokreślone upojenie.

Niekiedy opar świetlisty przed nim rozdziela się. Wtedy widzi siedzącą na wysokim spiżowym trójnogu dziewicę, nadzwyczaj bladą, znękaną, o oczach błędnie w głąb wpatrzonych. Przyłożyła dłonie

do skroni. Na czole wieniec z dębowych liści. Szata biała, powłóczysta.

Chajrefontowi nagle błyska przez głowę myśl, że twarz tej dziewicy jest niesłychanie pospolita. Ale w tej chwili myśl ta wydaje mu się bluźnierczą i natychmiast widzi w twarzy dziewicy zaświatową zadumę.

Zresztą znowu zakrył ją opar, który osiada na ścianach, skrapla się i ścieka w dół z szklanym dźwiękiem.

Chajrefont słyszy plusk każdej kropli i mógłby je liczyć. Ale kaja się i chce całą siłą woli odpędzić od siebie te pcstrzeżenia świeckie.

W ciemności, daleko a cicho, jakby za nieskończonemi rzędami kolumn, rozlega się chóralny śpiew hymnem do Apolina. Hymn ten przelewa się jak fala morska. Głosy rozdzielają się i łączą. Tony wzbijają się w górę i opadają.

Znów rozprasza się opar i widać postać wróżki. Blada jest śmiertelnie a usta ma sine. Chajrefont chyli się przed nią nabożnie, ale w tej chwili przypomina sobie pierwszą dziewczynę, którą posiadł. Było to w Aleksandrji. Zupełnie tak drżała w jego objęciu i tak śmiertelnie pobladła, gdy ją miłośnie objął.

I znowu dreszcz strachu przeszedł po nim od stóp do głów. Znowu pochylił głowę ku zimnym taflom świątyni. Uniósł ręce w górę. Wróżka chyli

się nad głębią tak, iż zda się, że spadnie do czeluści. Wchłania w siebie opar.

Co znaczy ten opar? Czemu go wchłania?

Ale nim jasno pytania te stanęły przed umysłem Chajrefonta, znowu z jękiem niemal pochylił się naprzód.

Poczuł kogoś za sobą i drgnął. Rozległ się szept nad jego uchem:

— Pytaj teraz.

Za nim w ciemnościach klęczał kapłan.

Chajrefont miał wrażenie, że w tej chwili usta jego stają się ustami całej Hellady. Otrząsnął się i jął monotonnym głosem recytować słowa, wyuczone na pamięć. Kapłani przedtem kilkakrotnie kazali mu je powtórzyć.

Głos jego rozlega się tajemniczo śród pustej nawy.

— Ciebie, Apolinie, ciebie, boże promienisty, ciebie władny i nieśmiertelny, zapytuję, abyś mi odpowiedział ustami wróżki twojej: żali jest taki na rozległym świecie, który byłby mędrszy od mistrza mego Sokratesa?

Wygłosiwszy to, znieruchomiał. Tylko ręce wznosił wyżej i wyżej, tylko jak w zjawisko wpatrywał się w półprzytomną twarz siedzącej nad czeluścią wróżki, tylko w myślach powtarzał raz za razem:

— Czy jest? Czy jest? Czy jest?

Wróżka, rozejrzawszy się dokoła, jakby nie rozumiejąc co się z nią dzieje i o co ją pytano, jęła

z wysiłkiem ruszać ustami i szepnęła szeptem umierających:

— Niema...

Ukazały się zielone koła pod jej oczami. Przechyliła się z trójnoga w bok, padając na ręce oczekujących ją w tej chwili dziewic, śród których mignęła jedna twarz, tak dziwnie Chajrefontowi znana, że aż krzyknął ze zdumienia.

Ale z dołu buchnął kłąb oparu, zakrył wszystko a w tej samej chwili uderzył tryumfalnie chóralny śpiew hymnem dziękczynnym. Chajrefont zaś z rykiem płaczu padł twarzą na marmurową, wilgotną posadzkę.

. . . .

W miejscu, na którem leżał, pozostała skórzana kiesa, pękata sztukami złotej monety.

Czterech kapłanów wynosiło go do przedsionka a piąty schylił się i podjął to, co Chajrefont był zamiast siebie zostawił.

Do południa rzeźwiono go winem. Następnie wykąpano i wysmarowano oliwą.

Wtedy kapłani wezwali go do Świętego Gaju i przed głazem ołtarzowym odczytali mu orzeczenie wyroczni, ujęte w dystych.

Pod wieczór, gdy skwar nieco złagodniał, Chajrefont ruszył w drogę powrotną.

RYNEK ATEŃSKI.

Na rynku ateńskim upał i zgiełk.

Około wodnicy roił się tłum, spożywając poranny zasiłek. Garść fig lub rodzynków, łyk wody i krzykliwa rozmowa, oto śniadanie prawdziwego syna ulicy.

O pewnych godzinach można było tam spotkać sofistów, retorów a zwłaszcza liryków, opiewających miłość.

Każdy sofista mógł ostatecznie zawsze znaleść bodaj dwóch uczniów, z których żył. Każdy retor, gdy brakło innego zarobku, starał się bodaj uczyć wymowy prowincjonalnych kapłanów. Ale lirykom szło najgorzej. O ile jaki zakochany garbarz lub kiełbaśnik nie zamówił ody do swej kochanki, ginęli poprostu z głodu.

Przekupnie wrzaskliwie zachwalali swój towar. Kramarze zaciągali przechodniów do sklepów. Stragany mieściły owoce, kwiaty, sandały, wyroby stolarskie, rymarskie, narzędzia rolnicze, płótna, wełny,

broń wszelaką, instrumenty muzyczne a nawet bogów i boginie.

Skład bogów był w ustawicznem oblężeniu. Zamożniejsi wieśniacy kupowali figurki Afrodyty, Ateny, Dzewsa, Aresa. Kapłani nabywali dla prowincjonalnych świątyń większe okazy i to przeważnie bogów lokalnych, których w Atenach nie czczono.

Olimp, wystawiony tu na sprzedaż, był ciosany z drzewa dość grubo i malowany dość ordynarnie.

Ares stał wyprężony jak hoplita przed domem stratega. Pallas Atene, bogini mądrości, miała na prawem oku przeraźliwego zyza. Dzews z drewnianym piorunem w ręku przechylał się sztywnie w bok na swoim tronie, od którego się odkleił.

Kapłani prowincjonalni, którzy na rynku stołecznym uczuwali pewne skrępowanie, targowali się jednak o każdą leptę. Ale handlarze korzystali z ich zakłopotania, zwracając się ze skargą do tłumu.

— Patrzcie, o Ateńczycy! Dzews za trzydzieści drachm jest zbyt drogi! Na takim tronie, z takim piorunem w ręku! Odkleił się? Ba, w drodze na wozie odkleiłby się i tak. Najlepiej wbić gwóźdź w tron i na nim figurę osadzić, to będzie się trzymała.

— Słuchajcie obywatele, za boginię mądrości piętnaście drachm i cztery lepty! Dużo? Niech bę-

dzie równe piętnaście drachm! Na bogach nieśmiertelnych nie będę przecież zarabiał. To się trzyma tylko dla wyższych celów. Bogini zyzuje? Nie bluźń, wielebny kapłanie z prowincji! Boskie natchnienie kierowało ręką snycerza i malarza. A może chcesz za piętnaście drachm dzieła Fejdjasza? Bierz, pakuj boginię na wóz, niech będzie czternaście drachm.

— Hej, mężowie ateńscy! Ares się temu kapłanowi nie podoba. Czy ty, przewielebny, nie wiesz, że lud prosty nie śmie podnieść oczu na boga? Jeżeli o lud wiejski chodzi, to Ares jest znakomity. Z naszymi Ateńczykami to już trochę gorzej. Zaraz musi być marmur i zaraz arcydzieło. Zaręczam ci, że Ares, którego w roku zeszłym sprzedałem w okolice Dafnis, daleko gorzej wyglądał. I powiadam ci, żaden wieśniak nie śmiał mu się przypatrzeć. Płać dziesięć drachm, taniej nie mogę.

Tuż obok znajdował się kramik z odpisami ulubionych poetów i prozaików. Można tam było znaleść między pieśniami Homera i Pindara także ody głośnego wówczas Meletosa, który stale zatrudniał w swej willi dwunastu przepisywaczy, pracujących od wczesnego rana do zachodu słońca.

Księgarz wykrzykiwał:

— Oda na pamiątkę wygnania trzydziestu tyranów, ułożona przez sławnego poetę Meletosa,

przepisana na ślicznie wygarbowanej skórze oślej — pięć drachm!

— Oda na święto panatenajskie, ułożona przez natchnionego wieszcza Meletosa, przepisana na skórze cielątka — trzy drachmy!

— Oda na cześć Lykona po jego mowie o moralności, ułożona przez boskiego Meletosa w nadzwyczajnem poetyckiem uniesieniu, przepisana ślicznie na płótnie — pięć obolów!

Młodzi uczeni wertowali rękopisy, spierali się o pisownię, o błędy, o ceny. Szczególniejszych sporów dostarczały dzieła Talesa a także Sofoklesa.

Niektóre rękopisy sprzedawano tylko potajemnie. Należały do nich przedewszystkiem pisma Anaksagorasa. Gdy ktoś szeptem zapytał o nie księgarza, ten najpierw przewracał oczami, następnie podnosił głowę, usta układał w niemy okrzyk: »yh«! Potem rozglądał się z udaną nieufnością a wreszcie prowadził interesanta w najciemniejszy kąt, pokazywał rękopis »cały i nieuszkodzony«, oraz wymieniał cenę tak bajeczną, że skóra cierpła.

Za to różnym chciwym lekkiej strawy duchowej młodzikom zalecał potajemnie »Pornografie« Alkibiadesa, »bardzo ucieszne«, a także niektóre komedje Arystofanesa, »nie nadające się do wystawienia w teatrze z łatwo zrozumiałych względów«.

Nie brakło także skrytki z wolnomyślnemi rysunkami i malaturami, których tematy były czer-

pane nietylko z głośniejszych skandalów ateńskich, ale także olimpijskich. Najwięcej pokutował w nich Dzews w postaci łabędzia i Leda, tuląca go oburącz.

Młódź wyrywała sobie z rąk obrazki i pokładała się ze śmiechu. Handlarz co chwila kładł palec na ustach i zaklinał, aby zachowywano się ciszej, bo mu archont »budę zamknie.« Ale w rzeczywistości sam podniecał do śmiechu.

Tuż w pobliżu uliczni atleci dawali przedstawienie, popisując się zręcznością i siłą. Otaczał ich tłum gapiów. A Ateńczycy znali się na tego rodzaju popisach. Toteż zdarzało się, że gdy atleta nie umiał zręcznie wygiąć się w duże Gamma, odpychał go przechodzień pierwszy lepszy ze słowem »cap jesteś« a następnie sam stawał na obu rękach, potem jedną unosił w górę i całe ciało zniżał aż do poziomu. Rynek wtedy szalał z radości.

Nieco dalej siedzieli pod rozpiętem płótnem pisarze publiczni i sądowi obrońcy, werbując sobie klijentelę i omawiając interesy.

Znowu nieco dalej widniał nieduży dom, w którego drzwiach stała leciwa niewiasta z założonemi na piersiach rękami. Ilekroć przechodził młodzik lub mniej solidny starzec, zaczynała nucić pod nosem piosenkę, wytrzeszczając przytem oczy w sposób wyzywający. Przechodzień stawał, wahał się chwilę a potem szybko niknął za progiem. W domu tym rozlegał się śmiech młodych głosów a także

słychać było brząkanie instrumentów muzycznych i czarek.

Po rynku przechadzali się grupami wybitniejsi obywatele, dostojnicy, strategowie, retorzy, uczeni, bogacze. Kobiet, zwłaszcza z kół wytworniejszych, nie można tu było wcale spotkać. Za to wałęsało się dużo niewiast przybyłych ze wsi okolicznych czy to w celach dewocyjnych, czy też dla poczynienia różnych zakupów.

Sokrates z gromadką swych przyjaciół przeciskał się przez tłum, robiąc różne uwagi nad życiem, nad cnotami i niecnotami obywateli.

Lubił ten rynek. Lubił to życie uliczne z jego wiecznym rozgwarem a przedewszystkiem szczerością. Maska obłudy, jaką lud przywdziewał, była naiwnie przejrzysta.

Demos żył, jak umiał. A nie posiadał nauczycieli życia. Niewinnym prostakiem był ów handlarz ciosanych niezgrabnie bogów. Niewinnym prostakiem był ten księgarz, sprzedający skrycie różne »Pornografje«. Biednemi istotami były te dziewczyny, których śmiech rozlegał się w owym tajemniczym domku.

Natomiast mniej niewinnym prostakiem był wytworny poeta Meletos, mniej szczerym był Lizykrates, który rozpajał lud w swej szynkowni, albo Chajeris, słynny flecista, który uwodził dziewczyny i zgrywał ludzi w kostki. A już wcale niewinnym nie był kapłan Feaks, który założył snycernię bo-

gów i swego rywala Teleasa doprowadził do majątkowej ruiny. Wszystkie sklepiki Grecji były zapełnione towarem, pochodzącym z jego rękodzielni. A co najbardziej dziwić mogło, to ów wyrób lichy i wszelkiemu zmysłowi piękna urągający. Feaks jednak mówił to samo, co jego handlarz: »Wzruszony lud nie śmie spojrzeć«.

Albo sędzia Klenymos, zajmujący się hodowlą kogutów, sposobionych do walk na Rynku. Ateńczycy bowiem przepadali za pojedynkami tych ptaków. Właśnie utworzyło się dokoła wodnicy zbiegowisko, gdyż sprowadzono nowe koguty.

Z pobliskiej jadłodajni dolatywał zapach gotowanej baraniny, ryb i grochu.

W uliczkach biegnących z Rynku była rozwieszona bielizna. Większą część czynności domowych, gospodarczych, kuchennych, załatwiano przed domami wśród wąskich uliczek. Letnie słońce ziało żarem i blaskiem.

Sokratesa i przyjaciół co chwila rozdzielano. Ale przedzierając się przez tłumy zbierali się na nowo.

Sokrates zawsze twierdził, że z Ateńczyków był znakomity materjał na obywateli. Narzekał tylko niekiedy na tych, którzy zajmowali się wychowaniem i kształceniem.

Sokrates przez rynek dochodził zawsze do gmachu Rady, siadał na schodach, a dokoła niego sadowili się w milczeniu Platon wiecznie zamyślony,

Kryton zawsze wszystko pilnie śledzący, Simjasz, który nie spuszczał oka z mistrza, Fedon, Echekrates i inni.

I wtedy lada słowo, które się komuś wymknęło z ust, lada zdarzenie, które się przed ich oczami rozegrało, lada wieść, która spadła ze świata rozległego do Aten, stawała się owem drewienkiem, na które nawijano długie rozmowy treści głębokiej, podniosłej, że nawet po za ich kołem przyjacielskiem ludzie przystawali w milczeniu, przysłuchiwali się, zdumiewali, zapominając o swych czynnościach, potrzebach, sprawach.

. . . .

Ale od pewnego czasu zaszła w usposobieniu mistrza zmiana zasadnicza. On, który dotąd każdą duszę otwierał ostrożnie, zaglądał do jej wnętrza jak dobry ojciec i zawsze jakiś kwiat pocieszenia tam rzucał, teraz do tych dusz wdzierał się przemocą dyalektyka, niemal włamywał się, wchodził jak groźny przeciwnik, wszystko, co w niej było, brutalnie na wierzch wydobywał, niemal... poniżał. On, tak dawniej wyrozumiały, tak łagodny, dla każdego opornego był poprostu straszny. Ktokolwiek mniemał, iż coś wie, iż coś rozumie, iż coś odczuwa, mógł oczekiwać, że Sokrates będzie go ścigał po Rynku, po Pnyksie, po Akropolu, w okolicy Muzejonu, że go wyzwie na dysputę, pokona. Przybywających z miast odległych do Aten ostrzegano przed tym nieubłaganym człowiekiem. Padł

jego ofiarą słynny sofista Protagoras. Padli inni. A jednak w postępowaniu Sokratesa nie było jednego, co zazwyczaj tak bardzo niesmakiem napełnia, nie było chełpliwości. Przeciwnie, jakaś nabożna skromność cechowała te jego napaści na wszystkich mądrych i rozumnych ludzi. Zdawało się poprostu, że spełnia jakąś misję, misję udowodnienia, że wszyscy Ateńczycy są od niego ciemniejsi.

Ale i to musiał mu przyznać każdy sprawiedliwy człowiek, że rzeczywiście szukał rzetelnie ludzi od siebie rozumniejszych. Nigdy nie popełnił w dysputach nieuczciwości. Słabym pomagał, jakby się wahał, czy są istotnie słabi. Zalęknionych ośmielał, jakby chciał wszystkie siły z nich wydobyć. A jednak w ostatecznym wyniku wszystko do tego prowadziło, iż każdy musiał się uznać za pokonanego.

Kryton, który go niezmiernie kochał, pierwszy spostrzegł, iż popularność mistrza słabnie w Atenach. On, którego dawniej Rynek tak lubił, dziś nie bywał witany zdaleka wesołymi okrzykami. Retorzy unikali go, dostojnicy udawali, że go nie poznają, nawet sklepikarze bardzo nieprzychylnie się o nim wyrażali.

Za to szczególnemi względami darzyli go Meletos, Lykon, Anyitos. Ten ostatni nosił się z myślą założenia publicznej uczelni i wystąpił na Pnyksie z radą, aby kierownictwo jej powierzyć Sokratesowi.

Głuche milczenie było odpowiedzią na ten projekt. Anyitos zdumiał.

Zdumiał Lykon a także Meletos. Anyitos powoływał się na orzeczenie wyroczni, która uznała Sokratesa za najmędrszego z pomiędzy żyjących. Chylono głowy przed sądem Apolina Delfickiego; niechęć jednak nie ustępowała.

Ale nie ustępował także Anyitos. Gromadził w domu swoim obywateli, przekładał, tłomaczył; wyjaśniał, że należy podnieść poziom umysłowości, że trzeba poważnie zająć się przyszłością młodzieży. Na takie obrady Lykon nadsyłał najlepsze wina. Nic nie pomagało.

Pewnego dnia spotkał się Platon z Echekratesem w pobliżu Muzejonu. Echekrates zwrócił się do niego z zapytaniem:

— Powiedz mi, czy rozumiesz postępowanie mistrza naszego?

Platon posmutniał. Szepnął:

— Niestety, rozumiem.

— Dlaczego drażni współobywateli?

— Słyszałeś o wyroku delfickim?

— Jakiż to ma z tem związek?

— Sokrates chce udowodnić, że wyrocznia się pomyliła. Jest zbyt skromny, aby uwierzyć, iż ma być najmędrszym człowiekiem na ziemi.

— I dlatego chce udowodnić, że wszyscy Ateńczycy są od niego ciemniejsi?

— Tak. I jednego nie przewidział...

— To jest?

— Że wszystkich Ateńczyków na siebie obrazi.

Zamilkli. Westchnęli. Rozeszli się.

. . . .

Był to przepiękny ranek. W Rynku ateńskim wrzało życie. Na schodach Rady siedział Sokrates otoczony uczniami.

Przechodził właśnie Meletos.

Każdy musiał zwrócić na niego uwagę. Miał na sobie togę barwy żółtej, na utrefionych włosach wieniec liljowy, na nogach czerwone sandały. W ręce trzymał pergamin i odczytywał nowy swój dytyramb.

Gdy zobaczył Sokratesa, stanął, skinął głową na powitanie i z rozkosznym uśmiechem począł deklamować głosem ciągłym jak miód i słodkim jak miód:

»Czy wiecie, co to jest Wolność,
»O Ateńczycy?
»Czy znacie lica jej śmiałe,
»Czy znacie wieniec laurowy,
»Który jej skronie ozdabia?
»Ona nie chodzi po polach,
»Ani nad morzem,
»Tu mieszka, u nas, w Atenach,
»Kochanka dwudziestu tysięcy
»Wolnych obywateli!
»Każdy ją czuje w swych ramion
»Mocnym uścisku,

»Każdy ją tuli do łona
»I na jej ustach różanych
»Całunek szczęścia wyciska...«

Deklamując i pojąc się dźwiękiem własnego głosu nie zauważył, iż z marmurowych schodów wstał jakiś młody człowiek, blady, z zaciśniętemi pięściami. Był to Chajrefont. Oczy jego płonęły jak dwie głownie. Chwycił nagle Meletosa za kark i krzyknął:

— Wolność? Przedstawiłeś ją jak ladacznicę!...

— On mnie chce zamordować, — wrzasnął Meletos.

Wywijał daremnie rękami, wieniec spadł mu z głowy. Ale w tej chwili przypadł do Chajrefonta Kryton.

— Oszalałeś! rzekł.

Ujął go żelaznemi dłońmi za ramiona i odciągnął na stronę. Meletos, poznawszy w napastniku Chajrefonta, zrozumieć nie mógł jego postępku. Simjasz podniósł wieniec z ziemi i chciał go Meletosowi włożyć na głowę. Ale lilje zbrukały się w kurzu ulicznym.

Sam Chajrefont był teraz niezmiernie zakłopotany, przepraszał Meletosa, ale nie mógł się w żaden sposób wytłomaczyć, co go uniosło.

Fedon, Echekrates i Simjasz a nawet Platon starali się udobruchać Meletosa. Ale im bardziej mu tłomaczono Chajrefonta, tem silniej był na

niego oburzony. Oglądał z miną bardzo niezadowoloną zbrukany wieniec, poprawiał układ włosów i fałdy togi. Wreszcie oświadczył, że postępku młodzieńca żadną miarą usprawiedliwić nie można.

— Jakże to — mówił — stara przyjaźń, moja nadzwyczajna życzliwość, moja, że tak powiem, protekcja? I za to wszystko grubijańska napaść! Tak sponiewierać jednego z najwybitniejszych obywateli...

W tej chwili twarz Sokratesa przybrała szczególny wyraz. Siedząc na schodach marmurowych Rady ozwał się w te słowa do Meletosa:

— Żali tylko, obywatelu, ozwałeś się słusznie? Czy może nas w ogóle kto sponiewierać, jeżeli nie my sami?

Meletos skrzywił twarz nieco gorzkim uśmiechem i odparł:

— Słusznie, gdy chodzi o mnie i o tego szalonego młodzika...

Tu rzucił pogardliwe spojrzenie na Chajrefonta, który skromnie oczy spuścił.

— Ale odwróćmy twierdzenie, mistrzu. Czy może być ktoś wyniesiony, który się sam nie wyniesie?

— Otoś mi słusznie się ozwał, Meletosie, bo właśnie głowię się nad znanym ci wyrokiem delfickim.

Meletos uczuł pewną ulgę. Gniew jego sprawił, iż chciał odnieść wogóle jakieś zwycięstwo

i gdy go poniżył uczeń Sokratesa, chętnie chciał poniżyć mistrza Chajrefonta. Uśmiechał się tedy wielkoświatowym uśmiechem milczenia, który dlatego tyle mówi, że nic nie mówi.

Ale Sokrates z nadzwyczajną flegmą ciągnął dalej:

— Nie śmiałbym przeczyć wyrokowi bóstwa. Wszelako stawiam sobie pytanie, ażali ono nie chce mnie poddać próbie? Kto wie, może uniesie mnie pycha? Z wieloma rozmawiałem, Meletosie, i niestety widziałem, że bóstwo miało dotąd słuszność. Pozostało mi niewielu najwybitniejszych mężów. Do nich i ciebie zaliczam. Kto rządzi czy ogółem obywateli, czy duszami poezję miłującemi, czy słuchaczami, ceniącymi wymowę, ten chyba musi prześcigać rozumem Sokratesa, który tych darów nie posiada. Musi być odemnie rozumniejszy taki Anyitos, taki Lykon, wreszcie ty, Meletosie.

— Przed wyrokiem bóstwa chylę głowę.

— Ale wyrok musi być co do swej treści oczywisty.

— Bezwarunkowo.

— Przyznasz także, że każdy człowiek ma zasady, które uważa za mądre?

— Tak.

— A jeśli kto ich nie podziela, to ów człowiek wydaje mu się niemądrym?

— Przyznaję.

— I na to się zgodzisz, że wszyscy ludzie nie mogą posiadać jednakich zasad?

— Nie mogą.

— Że zatem twoje zasady są prawdopodobnie inne, niż moje?

— Nieinaczej.

— Że przeto w pewnych sprawach nie możesz mnie uznać za mędrszego od siebie?

— Nie wiem doprawdy, co na to odpowiedzieć...

— Naprzykład w sprawie poezji...

— Być może.

— Że ty jako poeta masz większe prawo o niej mówić?

— Tak jest.

— Że ja tak się na tem znać nie mogę, jak ty się znasz?

— Przyznaję.

— Powiedz mi tedy, czy natchnienie jest darem bożym?

— Tylko i wyłącznie.

— Ale prócz tego poezja jest jeszcze sztuką?

— Trafnie powiedziałeś.

— A więc, kiedy jest darem bożym a kiedy sztuką?

— Sztuka obrabia rzecz natchnioną.

— Lecz zdało mi się, że natchnienie jest rzeczą boską?

— Już to przyznałem.

— A sztuka wymysłem ludzkim?

— I to ci także przytwierdziłem.

— Jakże tedy rzecz ludzka ma obrabiać rzecz boską i nie szpecić jej?

Meletos zmieszał się. Szukał gwałtownie odpowiedzi i wreszcie bąknął:

— Źle powiedziałem. Sztuka jest także rzeczą boską.

— Ale w takim razie gdzież jest zasługa? Możemy w was widzieć ludzi uprzywilejowanych, ale czy także zasłużonych?

— Tak, bo nie zmarnowaliśmy daru bóstwa.

— Ale to byłoby dopiero spełnieniem obowiązku. Gdzież cnota?

— Słusznie mówisz.

— Zdaje mi się, Meletosie, że jednak nie zastanawiałeś się nad tem.

— Istotnie — rzekł Meletos, czerwieniąc się.

— Zdaje mi się także, że jesteś raczej uprzywilejowanym, niż zasłużonym?

— Tak wypadałoby z tego, co ty mówisz.

— Ależ wedle zasad, które cię zniewoliły do oświadczenia się przeciw oligarchji, wszelki przywilej jest niesprawiedliwością?

— Lecz to przywilej dany przez bogów!

— Fe, Meletosie, perski satrapa tak mógłby mówić, ale nie obywatel ateński, który napisał dytyramb na cześć Wolności. Wypadałoby, że bó-

stwo, darząc was przywilejem, popełniło niesprawiedliwość.

— Do czego zmierzasz?

— Do tego, że bóstwo nie może być niesprawiedliwe.

— Żadną miarą nie może być.

— Więc nie może dawać wam przywileju.

— Nie, nie może...

— Że zatem natchnienie nie może być rzeczą boską?

— Wychodziłoby na to...

— A czy nie uważasz, że przedtem mówiłeś inaczej?

— Być może, zapomniałem...

— Że właściwie bardzo łatwo zrzekasz się tego, co przedtem za niezbite uważałeś?

— Za pozwoleniem, mistrzu...

— Albowiem jest jakieś Dajmonium, którego głosu słuchamy, albowiem natchnienie przychodzi na nas niespodzianie...

— Istotnie...

— Ale czemże są ludzie, którzy tak pochopnie zmieniają zdanie? Żali nie są to jednostki, które się mało zastanawiają? Sądziłeś, Meletosie, że znasz się na sprawach, tyczących poezji, a inni się nie znają. Tymczasem nie ustaliłeś sobie żadnych zasad, wahasz się, cofasz, jakgdyby ci rzeczy podobne zupełnie obce były. Prawda?

Słowa te wygłosił Sokrates z całym spokojem

filozofa, któremu chodzi tylko o logiczny wniosek. Ale Platon, który znał prawa charakterów ludzkich, zdrętwiał. Meletos zmienił się, czuł zbliżającą się przegraną, zapobiedz jej nie umiał, wszelako sądził, że cios ostatni nie będzie tak strasznie niemiłosiernym. Najbardziej zaś ubodło go to, że Sokrates z takim spokojem dokonywał nad nim eksperymentu i to publicznie. W tej chwili z filozofa i poety zmienił się w wytwornego światowca, uśmiechnął się grzecznie i rzekł:

— Ależ, Sokratesie, na samym początku powiedziałem ci, że wyrok bóstwa delfickiego jest nad wyraz słuszny!

Tu z niezmierną wytwornością skinął ręką na pożegnanie i powoli odszedł.

Platon zaś nachylił się do Sokratesa i szepnął mu w ucho:

— Zyskałeś w nim śmiertelnego wroga.

Sokrates nic na to nie odparł.

. . . .

Ale jakby go demon pędził w kierunku pewnym, fatalnym, nieubłaganym, nie poprzestał na Meletosie; jeszcze tego samego dnia, zdybawszy Lykona, wyzwał go na dysputę i pokonał.

Nazajutrz zaczepił samego Anyitosa i publicznie na Rynku udowodnił mu z wielką powagą — że wyrok bóstwa delfickiego był słuszny.

Toteż zaczęły krążyć po mieście najdziwa-

czniejsze plotki. Jedni głosili, że Sokrates się pokłócił z najgodniejszymi obywatelami. Inni opowiadali, że opluł bogów w sklepie Feaksa. Inni twierdzili, że wyrzucał księgarzowi, iż pism bluźniercy Anaksagorasa nie wystawia na widok publiczny i wskutek tego nawet gramateus chciał go podobno aresztować. Jeszcze inni rozgłaszali, że dostał nagłego obłędu.

Ale też równocześnie dom Sokratesa jęła oblegać młodzież, błagając starca, aby ją przyjął do rzędu swych uczniów.

Sokrates był tem głęboko poruszony. Nie odmawiał.

Był zwycięzcą mimowolnym. Bóstwo głosiło prawdę. Ale zarazem poczuł, iż dźwiga na sobie brzemię, które winien odnieść wiernie do pewnego celu.

Toteż poczucie tego obowiązku znowu wywołało w nim nadzwyczajną zmianę. Z twardego i nieubłaganego stał się miękkim, stał się — dobrym.

I znowu brał w rękę każdą duszę jak biedny, nadeptany kwiat; pielęgnował, aż odżyła i pierwotną odzyskała świeżość.

Teraz siał naokół nietylko mądrość, ale i poczucie szczęścia.



NOWA ERA.

Zbierano się zrazu na Rynku, potem w zamiejskich ogrodach, albo u stóp Akropolu, ale najczęściej w zacisznym gaju cyprysowym w pobliżu Stadjonu.

Sokrates siadał na kamieniu a młódź otaczała go ze wszystkich stron, czy to układając się na trawie, czy stojąc zwartem kołem.

Nie były to wykłady, ale raczej poufałe pogawędki. Każdy brał w nich udział. Każdy bywał pytany i na coś odpowiadać musiał. Niekiedy zdawało się, że jedna dusza ogarnia obecnych i że wszyscy razem stanowią jeden umysł.

Platon zazwyczaj leżał na ziemi i coś skrzętnie na tabliczkach notował. Inni natomiast o czemś podobnem myśleć nie byli poprostu zdolni.

Niekiedy Sokrates miewał dłuższe przemówienia. A wtedy niezmierna cisza zalegała dokoła.

Mówił dziwnie. Gawędził raczej. Wcale nie był mówcą.

Młodzież, przyzwyczajona do wspaniałych retorów, do deklamacji, do wdzięku słowa, spotykała się tu z czemś, co było dla niej zupełną nowością.

Starzec nie pieścił ucha, ale za to dziwną sztuką unosił rozum i imaginację w świat swoich myśli. Każdy, jeżeli tylko choć chwilę uważnie słuchał, był przeniesiony z dziedziny rzeczywistości w krainę tak piękną jak sen a tak ścisłą jak matematyka.

Słuchaczom znikał z oczu Rynek, gwarliwe Ateny, świątynie napełnione bogami, błonia z hoplitami odbywającymi ćwiczenia, sale sądowe z oskarżającymi i oskarżonymi, cała rzeczpospolita ojczysta. Natomiast w jakiejś sferze nadziemskiej ukazywało się im miasto, zapełnione mężami prawdziwej dostojności, gmachy publiczne, w których rozbrzmiewały słowa mądrości nieśmiertelnej — ukazywała im się idealna Rzeczpospolita, na którą oczy całego świata były obrócone.

A w tej idealnej Rzeczypospolitej panowali nie garbarze, nie retorzy i dytyrambiści, ale ludzie szukający prawdy i istoty rzeczy. Nie składali ofiar bogom, ciosanym z drzewa lub kamienia, ale czcili zamieszkałe w każdym człowieku Dajmonium, które zawsze i nieomylnie rozstrzygało o tem, co piękne, rozumne i szlachetne.

A ta idealna Rzeczpospolita nie była niczem innem, tylko odbiciem jakiegoś Dajmonium, będącego duszą widomego świata, duszą prawieczną, wszechpotężną.

W każdej roślince jest zaklęty promyk tej jednolitej duszy świata. Nie łam przeto bezużytecznie roślinki. W drżeniu ziemi rodzącej przejawia się to jedno wszechżycie. Nie sądź przeto, żeś zginął, gdy prochy twoje do jej łona złożą, albo gdy z dymem uniosą się ze stosu w eter święty.

I oto znów święty eter jest skarbcem wspólnym, którym powszechna Wolność oddycha. Choćbyś się oddzielił od tłumu kosztowną szatą, marmurowym progiem, złotą misą, z jednego kubka świętego eteru pić musisz wspólny ożywczy oddech, symbol wiecznego braterstwa.

A różnica między ludźmi polega tylko na tem, kto umie lepiej słuchać swego głosu wewnętrznego. Komu uszy napełnił gwar ziemski, ten nie posłyszy nieba, odzywającego się w nim samym.

Jakże pięknem mogłoby być to życie ludzkie z oną tkliwą przyjaźnią, poświęceniem, poszukiwaniem prawdy! Jakże wzniosłą byłaby taka Rzeczpospolita, którąby przyświecała narodom jako wzór sprawiedliwości i piękna moralnego! Jakże szczęśliwym byłby Ateńczyk, mistrz ludów żyjących po lądach lub żeglujących po morzach wełnistych!

Jakże uroczysty nastrój panowałby wtedy na Akropolu, gdyby wszystkie stojące tam posągi były

tylko posągami i gdyby świątynie dlatego tylko były świątyniami, że wchodziłyby do nich ludzkie istoty, świątynie wewnątrz siebie mające!

Szukaj prawdy, szukaj piękna! Szukaj przez młodość, wiek męski i starość późną! Śmiertelność dotyka tylko twego ciała. Ale Dajmonium twoje jest wieczyste i jako promień wraca do swego nieśmiertelnego źródła.

Promieniu ludzki! Bądź jako ten blask słońca, przenikający wszystko swem ciepłem i jasnością...

— Czy wtedy człowiek będzie ranił lub zabijał?

— Nie będzie, gdyż godziłby w własne szczęście.

— Czy wtedy będzie człowiek oszukiwał?

— Nie będzie, gdyż oszukiwałby siebie samego.

— Czy wtedy człowiek będzie zazdrościł?

— Nie, gdyż gniewałby się na ognisko darzące go swem ciepłem.

— Co sądzisz, człowieku, o Teraźniejszości?

— Sądzę, że trzeba ją uczynić wznioślejszą.

— Co sądzisz, człowieku, o ludziach, którzy bronią Teraźniejszości?

— Że są ślepi, że trzeba im zdjąć z oczu bielma.

— Co sądzisz o prawach, któremi się rządzi Teraźniejszość?

— Że je trzeba zmienić od pierwszego do ostatniego.

— Czy zadanie to jest trudne?

— Tak, odparły liczne głosy.

— Nie, rzekł z mocą mistrz. Nie może być trudne, skoro jest piękne!

. . . .

Nastała istotnie jakaś nowa era w Atenach. Śród młodzieży powstał prąd, obejmujący coraz szersze kręgi.

W winiarniach można już było spotkać tylko ludzi starszych. Walki kogutów otaczało już tylko prostacze pospólstwo. Nawet miejscy księgarze twierdzili, że zupełnie inne rękopisy cieszą się teraz pokupem.

Wogóle trudno było spotkać na Rynku jakiegoś młodzieńca, chyba, że to byli młokosi nawskróś zepsuci, albo też przybyli z oddalonych miast pielgrzymi szukający poloru i nieobeznani z nowemi dążeniami stołecznemi.

Najdziwniejszym jednak objawem było to, że do owego szczególnego ruchu zaczęły się także przyłączać dziewice ateńskie. Dawniej nigdy nie brały udziału w rozprawach tyczących poezji, rzeźby, muzyki lub filozofji.

Przychodziły do gaju cyprysowego ze swymi braćmi lub narzeczonymi, kryjąc zrazu twarz za gęstą zasłoną, ale potem śmiało ją odrzucając.

. . . .

Zdarzyło się razu pewnego, że jakaś dziewica na zapytanie mistrza pierwsza dała odpowiedź i to zdumiewająco trafną. Wtedy mistrz zwrócił się do

niej wyłącznie. Nastąpił szereg błyskawicznych zapytań i równie błyskawicznych odpowiedzi. Wszyscy zdumieli. Dziewczyna nie okazywała najmniejszego zakłopotania; przeciwnie, odpowiadała tak, jak gdyby cały świat dla niej nie istniał.

Sokrates był głęboko poruszony.

Kiedy o zachodzie słońca rozchodzili się, Chajrefont podszedł do dziewczyny.

— Jak ci na imię?

— Alkesta.

Młodzieniec zbladł.

— Cóż ci jest, przyjacielu? — zapytała dziewczyna, ujmując go za rękę i niemal podtrzymując, gdyż Chajrefont prawie się chwiał.

— Nie wiem, ale to imię...

— Czy jest to imię jakiej kochanej?

— Ja ciebie już spotkałem raz w życiu, nie, dwa razy...

— Mówisz jak chory.

— A może był to zresztą sen. Zdaje mi się, że spotkałem ciebie nad Słonem Jeziorem. A potem jak gdybym widział twarz twoją w świątyni delfickiej obok wróżki...

— Tak bardzo jestem podobną do tamtej?

— Tak ogromnie tą samą...

Dziewczyna popatrzyła na niego gniewnie. Potem wolno rękę jego puściła i rzekła surowo:

— Nie wiedziałam, że śród uczniów Sokratesa znajdą się trzpioci i kłamcy.

Chajrefont, w którym natychmiast wezbrała duma, wyprostował się, ale odrzekł spokojnie:

— Nie wiedziałem ja ze swej strony, że pierwsza niewiasta, która przyłączy się do uczniów Sokratesa, będzie płytka w swych sądach i — zarozumiała.

Rzekłszy to oddalił się, niknąc zwolna za cyprysami.

Dziewczyna patrzyła za nim uważnie, postąpiła nawet krok naprzód, ale po chwili, jak gdyby zmieniwszy zamiar, zawróciła i z głową zwieszoną poszła w stronę miasta.



ŚWIĘTO ZWYCIĘSTWA.

Całe Ateny były przystrojone wieńcami.

Białe kolumny owinięto zielonemi wstęgami girland, utkanych z gałązek cyprysu i pinji. Na czoła wszystkich posągów złożono korony lauru.

Uroczysty pochód wyruszył z ulicy Eola, skierował się na Rynek, wyciągnął się długim wężem w stronę Stadjonu, opasał Muzejon i następnie piął się na Akropolis.

Przodem szedł oddział fletnistów, kitarzystów i trębaczy. Za nim postępował chór mężów i młodzieńców, śpiewających pieśń na rozliczne głosy.

Następnie szedł Meletos, przybrany jak gdyby na Apollina, ze złoconą lutnią pięciostrunną w lewej ręce. Wyobrażał, że sława Aten już przeszła do pieśni.

Tuż za nim dreptały dzieci nagie, mające je-

dynie różowe przepaski dokoła bioder i skrzydełka białe u pleców. Sypały róże, lewkonje i lilje.

Potem postępowały dziewice, niosące na drążkach drewniany posążek Bogini-Opiekunki.

Następnie ukazał się zastęp kapłanów w białych togach, mających uwieńczone głowy mirtem, liściem dębowym, figowym lub pomarańczowym.

Za kapłanami szedł oddział wojska w pełnem uzbrojeniu, otaczający Anyitosa, który postawą i strojem znowu nieco przypominał boga Aresa. Z prawej strony Feaks niósł jego tarczę a z lewej Lykon jego miecz.

Za hoplitami toczył się wóz, ciągniony przez cztery białe rumaki sprzężone w poprzek. Za cugle, których rzemienie ukryte były w liljach, prowadzili je najpiękniejsi młodzieńcy. Na wozie stała córka Anyitosa, przebrana za Wolność.

Szmer podziwu poszedł po szeregach obywateli, kędy ciągnął pochód, albowiem dziewica była istotnie bardzo piękna.

Tuż za wozem kroczyli archontowie, wszelacy dostojnicy i mężowie sławni, retorzy, sofiści, poeci.

To była pierwsza część niezmiernie długiego pochodu, znamionująca powagę. Druga część poświęcona była wesołości.

A więc najpierw szli mężowie i młodzieńcy, poprzebierani za Leśnych Ludzi.

Następnie toczył się w dwanaście kóz zaprzężony wózek w kształcie beczki na kółkach. A na

beczce, przybranej wieńcami z liścia winnego, siedział pogodzony z Atenami Alkibiades, wielce przypominający Dionyzosa.

Za wozem chórzyści i chórzystki pląsały w tańcu swawolnym.

Za tym wesołym korowodem szli znowu hoplici, prowadząc trzydziestu spętanych mężczyzn, wyobrażających trzydziestu poskromionych tyranów. Gawiedź rzucała na nich piaskiem, szyszkami cyprysowemi, pestkami brzoskwiń. Co chwila tłum wybuchał śmiechem. Tyrani udawali wściekły gniew, miotali pogróżki na wszystkie strony. A czasem, gdy któremu z nich nabito guza jabłkiem albo nawet kamieniem, obracali się w stronę winowajców i wołali: »czekajcie, zwierzęta, oddamy jutro z lichwą!« Ale wtedy następował tylko nowy wybuch śmiechu.

Wzdłuż całego pochodu utworzył się szpaler obywateli, trzymających się za ręce, aby gawiedź nie przeszkadzała pochodowi.

Niebawem miasto prawie zupełnie opustoszało a wąż obywatelstwa, ujęty w barwny, kwiecisty i rozhałasowany pochód, wił się na Akropol, z którego wznosił się w górę srebrzysty słup dymu ofiarnego.

I oto owemi propylejami, na których stała rozhukana kwadryga spiżowa, wyśniona przez Aspazję, płynął pochód, a każdy, kto w nim udział brał, czuł wielkość.

Na szczycie w czystem powietrzu brzmiał uroczysty chór, rozlegając się daleko po okolicy.

Ateny obchodziły rocznicę wypędzenia z miasta trzydziestu tyranów.

. . . .

Chajrefont postępował w tłumie, który nieskończenie długim pochodem ciągnął się za beczką Alkibiadesa i hoplitami, poskramiającymi spętanych tyranów.

Był roztargniony. Wysunął się na lewą stronę pochodu, gdzie kurzawa mniej dokuczała. Odłączył się w ten sposób od Sokratesa, około którego powstał bez porozumienia, ale naturalnym biegiem rzeczy, osobny oddział, złożony z młodzieży obojga płci. Sokrates tego nawet w pierwszej chwili nie zauważył. Ale zauważyli obywatele i poczęli go sobie pokazywać palcami.

Skoro młodzież spostrzegła, że demonstracja zwróciła uwagę powszechną, urządziła starcowi małą owację. Rzucano na niego kwiatami i wydawano na cześć jego okrzyki.

Starzec obruszył się. Zrazu chciał ustąpić z pochodu. Ale otoczono go ze wszystkich stron i zmuszono do roli tryumfatora. Platon, który ciągle szedł u jego boku, ujął go pod ramię z jednej strony a Kryton z drugiej strony.

Starzec uśmiechał się dobrotliwie twierdząc, że go te zaszczyty tylko ogłupiają, bo przestaje logicznie myśleć.

Ale Platon trafnie zauważył, że jest to chwila, w której właściwie nikt nie jest obowiązany myśleć logicznie, tylko poddawać się radości.

Sokrates przyznał mu żartobliwie słuszność.

Ponieważ pochód w górze dotarł do wyżyny Akropolu, zagrzmiały okrzyki tłumu. Gdy na chwilę umilkły, słychać było przeciągłe śpiewy na szczycie Świętej Góry. Zapał jął ogarniać tłumy i znowu jak burza zrywały się okrzyki z tysiącznych piersi. W powietrzu unosiła się woń palonych kadzideł. Drżenie ogarnęło wszystkie serca.

Była to chwila rzeczywiście uroczysta i wielka. Lud oddychał wolnością, upajał się nią, czuł, że ona jest jak święte powietrze dla piersi. Zdawało się, że piękne mury Akropolisu żyją, że jest to jakiś żywy przybytek Duszy Ateńskiej. Dźwięki trąb, chóry śpiewaków, dymy ofiarne i woń kadzidlana, okrzyki radosnego szału, wszystko to razem zmieniło się w jedno Dajmonium.

Sokrates był blady. Wargi mu lekko drżały. Był bardzo rozmowny a zwłaszcza oddawał się wyliczaniu rozmaitych wspomnień.

Więc opowiadał Platonowi i Krytonowi dzieje wojen peloponeskich, bitew pod Deljon i Potideą, następnie kreślił obraz powstania oligarchji, czasy ucisku, przytaczał wszystkie ciemięztwa tyranów, rozpowiadał o odważnem wystąpieniu Lachesa i Trazybula a także o swoich osobistych zajściach z oligarchami. Potem opowiadał im o Anaksagorasie,

o Peryklesie, Aspazji, wreszcie wspomniał nawet o Chajrefoncie i wyroku delfickim. Potem powiedział, iż czuje się szczęśliwym. Bo oto jego wymarzona Rzeczpospolita spełnia się, bo oto nie jest sam na starość swoją. Bo oto Anaksagoras z tego Akropolu uchodzić musiał, kiedy on, przez wyrocznię pobłogosławiony, wkracza na Świętą Górę jako sędziwy zwycięzca.

Bo oto po Anaksagorasie i jego wiedzy zostało zaledwie wspomnienie w pilnie ukrywanych rękopisach. A on żyje życiem żywem, że słuchał głosu swego Dajmonium. I głos ten każdy z otaczających go przyjaciół w sobie posłyszał. Kto wie, może Ateny w tej chwili słyszą głos Dajmonium, które się rozlega w tem wszystkiem...

A właśnie znaleźli się u stóp Akropolisu. Zdawało się, że w górze sam firmament grzmi śpiewami, muzyką i wrzawą tryumfalną.

Powstał w dole niesłychany ścisk. Wyżyna Akropolisu nie mogła pomieścić więcej istot ludzkich.

Śpiew, który brzmiał pod firmamentem, ogarnął tłumy kupiące się dokoła podnóża Góry Świętej. Powietrze drżało. Z śpiewem połączyło się dzwonienie mieczów po tarczach. Już nie można było słyszeć melodji, śpiewu, ani gry instrumentów muzycznych — tylko drżenie powietrza.

Cała dolina między Lykabetem, Helikonem i Areopagiem wypełniona była tem drżeniem, które przez szeroki rozłam gór rozchodziło się coraz

większemi kręgami aż hen w stronę modrej przestrzeni wód morskich.

. . . .

Przy oliwkach około Pnyksu, gdzie kończyły się ostatnie szeregi mrowia ludzkiego, stał zamyślony Chajrefont.

Miał w głowie zamęt. Nic nie słyszał, tylko to ciągłe, to potężne dudnienie powietrza.

Wtem uczuł dotknięcie dłoni a równocześnie około ucha zabrzmiał głos, który mówił:

— Uraziłam ciebie...

Chajrefontowi krew falą wielką uderzyła do głowy. Obejrzał się. Stała Alkesta.

— Pójdźmy w stronę Muzejonu. Ginę z upału i wrzawy.

To rzekłszy, ruszyła naprzód. Chajrefont podążył za nią.

Wyszli z tłumu. Nikt na nich nie zwrócił uwagi. Idąc milczeli.

Im więcej oddalali się od Akropolisu, tem wrzawa tryumfalna stawała się bardziej muzyczną. Akropol był ustami, a mrowie ludu piersią, która przez te usta słała olbrzymie tchnienie pod modrą kopułę nieba.

Doszli do cyprysów.

Alkesta usiadła pod hermą Ajschylosa. Lekko zabarwiony marmur nie tracił swej słonecznej przejrzystości. Błękitne oczy tragika patrzyły wymownie w stronę Akropolu. Chajrefontowi zdawało

się, że herma bije ciepłem ludzkiem i drżeniem wewnętrznego ognia.

Alkesta uśmiechnęła się żałośnie i rzekła:

— Oto ten, który znał serca ludzkie. Siądź obok mnie, a może on odemknie ci duszę i każe wszystko mówić.

Chajrefont popatrzył jej w oczy i natychmiast wzrok opuścił. Oczy jej dziwnie go mieszały.

Dziewczyna po chwili ujęła go za rękę i rzekła:

— Mów, kto była Alkesta.

Chajrefont jeszcze niżej głowę pochylił i szepnął:

— Słowo wyfrunęło z ust niebacznie.

— Zwab te ptaki napowrót do swego serca.

— Spłoszyłaś je.

— Sama im dziś rzucam ziarno przyjaźni...

Chajrefontowi stanęły łzy w oczach. Zaczął mówić. Opowiadał o Delfach, o wyroku. Powoli, bardzo powoli przeszedł do sceny na drodze między Jeziorem Słonem a Zatoką Salamińską.

Ośmielił się. Niekiedy nawet mówił z zapałem. Dziewczyna od czasu do czasu silniej ścisnęła jego rękę.

Teraz Chajrefont rozpowiadał o owej nocy, gdy cała przestrzeń była zalana światłością, gdy szeptało morze, gwarzyły gałązki a Alkesta śpiewnym głosem mówiła mu ową szczególną baśń, na poły polityczną, na poły jakby z świata czystej fantazji. Następnie taki nacisk dziwny położyła na tajemnicę Delf. Tu opowiadając przybladł nieco. Jest

bowiem niemal głęboko przekonany, że widział Alkestę w kole dziewic, otaczających wróżkę.

— I ona rzeczywiście była do mnie podobna?

Chajrefont podniósł oczy i odparł z głębokiem przekonaniem:

— Była rzeczywiście do ciebie bardzo podobna.

— Nie mylisz się?

— Nie mylę się. Nie mogę się mylić.

Alkesta wpatrzyła się w niego i szepnęła:

— Kapłan Panetios, który rządzi w Delfach i niekiedy odwiedza stryja mego Anyitosa, posiada córkę bardzo do mnie podobną.

Chajrefont osłupiał.

— Widziałaś ją?

— Tak jest, widziałam ją przed dwoma laty.

— Mów mi o niej.

— Panetios chciał z niej uczynić pierwszą wróżkę. Ale ona oparła się temu.

— Dlaczego?

— Bo mówiła, że brzydzi się wszelkiem oszustwem.

— Jakto?

— Gdyż wyrocznia delficka jest jednem wielkiem oszustwem.

Chajrefont jakby skamieniał. Podniósł na Alkestę wylękłe oczy. A twarz jej była spokojna, marmurowa, z odcieniem pewnej surowości.

Młodzieniec powiódł ręką po czole, popatrzył na Akropol, na niebo i znowu na Alkestę.

— Czyż to byłoby ową tajemnicą Delf?

— Tak jest. Oszustwo jest tajemnicą Delf.

Tymczasem na Akropolu cichła wrzawa, śpiewy, muzyka. Nastało w całej dolinie uroczyste milczenie.

— Ależ w takim razie ów wyrok?

— Nie wiem, jak się przedstawia rzecz z owym wyrokiem. To mi jest tylko wiadome, że Panetios wywiózł wtedy dużo złota i że w czasie rozmów, prowadzonych zawsze w pewnem od nas oddaleniu i szeptem, wielokrotnie posłyszałam imię Sokratesa a nawet twoje.

Chajrefont ściągnął brwi.

— A także powiem ci, że wtedy byłeś wezwany do Anyitosa i że umyślnie Meletos tak z tobą za filarem rozmawiał, abyś był widziany, sam nikogo nie widząc.

— Więc Alkesta mnie wtedy widziała?

— Alkesta wtedy ciebie widziała.

— Nie myli cię pamięć?

— Tak jak nie mylą mnie oczy, że ciebie mam tu przed sobą.

Wtem zawrzały nowe okrzyki na Akropolu. Ale w tych okrzykach nie było już nuty poprzedniej, lecz raczej jakaś burza.

Mimowolnie obrócili oczy w tamtą stronę.

Właśnie purpurowa tarcza słońca utworzyła nad Akropolem ogromną aureolę. Promienie dygotając biły w niebo.

— Akropol wygląda jak promienna głowa Bogini-Opiekunki — rzekł Chajrefont.

— Akropol przypomina mi raczej otoczoną wężami ognistemi głowę Gorgony — odparła Alkesta. A wrzawa we wnętrzu tej potwornej głowy nie ustawała, lecz była niby okrzyk gniewu, buntu, oburzenia.

— Co się tam rozgrywa? — zapytała Alkesta.

Chajrefont patrzył, ale co chwila wodził ręką po czole. Z ust Alkesty usłyszał dziś po raz pierwszy w życiu rzeczy, które wydały mu się przecież bluźnierstwem.

Wierzył w oszustwa owych wędrownych guru. Wierzył także w matactwa łotrowskie kapłanów Amona w Tebach. Ale żeby między rosochatemi dębami Świętego Gaju delfickiego miało się rozsieść oszustwo, żeby ono rozbrzmiewało wśród tych wspaniałych hymnów, śród tych oparów, tego namaszczenia? I żeby Alkesta tak bliską była tego wszystkiego...

Nie, to nie mogło się w jego głowie pomieścić.

Posłyszeli w oddaleniu kroki. Spojrzeli. Przechodził Sokrates, Simjasz, Platon i inni, rozmawiając ze sobą.

Alkesta rzekła:

— Dziś uczta u Agatona. Pójdziesz na nią?

— Wezwano mnie, lecz prawdopodobnie nigdzie nie pójdę.

— Czemu? Odprowadzę cię do progu.

— Wolałbym, żebyś mnie odprowadziła do wybrzeża morskiego, abym się w głąb rzucił...

— Runęła wiara twoja?

— W całej głowie mojej gruzy na gruzach.

— Czy Anyitos namawiał cię, abyś szedł do Delf?

Chajrefont nie odpowiedział, tylko głowę spuścił.

— Lykon także? I Meletos?

Chajrefont ukrył twarz w dłoniach a po chwili szepnął ledwie dosłyszalnym głosem:

— I ona mnie namawiała...

Wtedy Alkesta położyła dłoń na jego głowie i poczęła głaskać jego włos. Następnie głosem niemal czułym tak mówiła:

— Nie zrozumiałeś jej. To niezwykła dziewczyna. Kto wie, czy ona nie zawiodła się na mistrzu naszym...

Chajrefont podniósł twarz zalaną łzami a Alkesta tak dalej mówiła:

— Oni czuli, że coś trzeba dla Hellady uczynić, że zabrnęli zbyt daleko. Trzeba im było człowieka. I taki człowiek znalazł się. Należało tedy tego człowieka wynieść. Ale — wszyscy się pomylili. Anyitos mniemał, że człowiek ten będzie ulepszonym Lykonem, Lykon myślał, że będzie on ulepszonym Anyitosem, a Meletos robił, co mu kazano. Alkesta myślała, że to będzie drugi Anaksagoras, który dowiedziawszy się o wyroku śmiesznym i głupim, potężną pięścią rozumu uderzy

w gmach przesądu i rozwali go, aby Wolność wróciła do Aten i ona razem z nią. A Sokrates im wszystkim urządził niespodziankę, gdyż zaczął poprostu szukać mędrszych od siebie i kto wie, czy w tej chwili już Anyitos nie grzmi przeciw niemu na Akropolu.

Chajrefont był śmiertelnie blady. Myśli plątały mu się po głowie, czuł, że zupełnie przestaje być ich panem. Alkesta wsparła głowę na ręku i popadła w zadumę.

Właśnie powracał tłum gromadkami z Akropolu, głośno rozprawiając. Alkesta i Chajrefont nie byliby prawdopodobnie wcale na nich zwrócili uwagi, gdyby nie poczęły się obijać o ich uszy znane powszechnie nazwiska.

Ludzie, którzy przechodzili, nie widzieli ich. Rozpowiadali na głos, iż Anyitos wygłosił mowę przeciwko bezbożnemu kierunkowi, jaki szczepi pewien filozof śród młodzieży. Potem padały urywane zdania:

— O Sokratesie mógł tylko mówić.

— Chyba że o nim jednym!

— Wszak między jego uczniów zabłąkały się dziewczyny.

— O obyczaje!

— Stary Satyr!

— Chce mu się wabić młode nimfy!

— Pleciesz głupstwa. To mąż zacny.

— On zresztą nieszkodliwy. Ale młodzież?

— Rozumie się, że tylko o tych koziołków chodzi!

— Podobno dziewczyny nasze przechadzają się z młodzieńcami późnemi wieczorami?

Ktoś z tłumu wskazał ręką na Alkestę i Chajrefonta. Przechodnie przymilkli. Tylko z jakichś ust padła uwaga niby od niechcenia, ale bardzo głośno:

— No, to Anyitos miał słuszność!

Gromadka przeszła, niknąc za cyprysami.

— Podli! — szepnął przez zęby Chajrefont.

— Tylko prostaki — odparła Alkesta. — Wypędzili trzydziestu tyranów z miasta, ale nie wypłoszyli z własnych głów pojęć niewolniczych.

Słońce tymczasem zaszło i powoli jął księżyc rozświecać gaj cyprysowy.

Akropol zajaśniał kolorowemi światłami i barwnemi dymami. Zdawało się, że góra jest spiżową czaszą, na której płoną czerwone dymy kadzideł.

Powietrze przepełniło się wonią magnolji. Cudny kwiat śród chłodu wieczornego otworzył swe kielichy i rozsyłał na okół nadzwyczajne zapachy.

Alkesta wpatrywała się długo w Chajrefonta. Teraz dopiero przekonała się, ile melancholji i cierpienia wyryło się w jego twarzy. Jedną połowę jego oblicza oświecał blask księżyca, druga połowa tonęła w mroku. Tylko źrenica zmroczonej połowy twarzy przez refleks świeciła jak siny krążek.

Chajrefont westchnął głęboko i zaczął mówić:

— Wygłosiłaś zdanie, że w tę hermę została zaklęta dusza wielkiego tragika. Ja wierzę, że ona żyje i może unosi się gdzieś w pobliżu. Tragik ten panował nad myślami ludzkiemi. One były w jego ręku igraszkami, z któremi czynił, co zechciał. Ja natomiast jestem igraszką innych. Przychodzi wizja i mówi: Jestem Alkesta. A następnie o cichym, cudnym wieczorze szepce słowa, które do szału doprowadzają wędrującego młodzika. Ledwie jednak dotknął jej piersi, ona mówi: jestem wizja... i pierzcha. Przychodzi druga Alkesta i mówi: jam jest potęga rzeczywistości, a tamto złudzenie i oszustwo. I mówi jeszcze: Anaksagorasa obalił Sokrates, Sokratesa ja obalam... A ja mówiłem pierwszej Alkeście i powtarzam drugiej: burzę wniosłyście do mojej duszy, okropną burzę niepokoju...

Nagle zaczął się śmiać.

— Dajmonium... Może niema już żadnego Dajmonium? Może jest znowu tylko liczba, waga, kształt? Może ulegaliśmy złudzie, że dążymy z jakiejś ciemni linją prostą w światłość? Może błądzimy kółkiem, od Anaksagorasa do Sokratesa, od Sokratesa do tego wszystkiego, co ty mówisz i znowu z powrotem do Anaksagorasa... Błędne kółko powrotów, nawrotów a za każdym razem nowe wiary, nowe uniesienia, nowe wzloty i nowy upadek, nisko, nisko, tak ogromnie nisko, że aż na samo dno, gdzie jedno jest tylko wieczne, dużo złota dla wyroczni i tajemnica owego strasznego

szyderstwa, wyżłobionego na fryzie świątyni: Poznaj siebie samego...

Alkesta, powoli głowę z zadumy podnosząc, słuchała jego słów, jego śmiechu pomieszanego niemal z płaczem. Twarz jej przybierała wyraz gniewu. Ale po chwili gniew ustąpił wyrazowi siły. Wlepiła w niego spojrzenie. Chajrefont je poczuł. Podniósł oczy, ale zarazem oczy jego stały się jak błędne. Alkesta ujęła go za rękę. Twarz teraz bardzo zbliżyła do twarzy jego a następnie rzekła bardzo powoli, ale bardzo dobitnie:

— Nakazuję ci, myśl o czem innem!

Twarz Chajrefonta stała się kamienna. Alkesta pomiarkowała się i chcąc wypełnić tę okropną próżnię, która w tej chwili w nim nastała, rzekła:

— Miej spojrzenie wolne. Patrz!

Chajrefont odwrócił oczy w bok a twarz jego przybrała wyraz zdumienia. Zaczął szeptać:

— O, Anyitos i Lykon... Znowu razem... Rozmawiają ze sobą, że należy zaraz kogoś sądzić...

Twarz jego przybrała nagle wyraz przerażenia.

— Widzę sąd... I sędziów widzę... Anyitos oskarża. Stoi starzec, którego nazywają: Anaksagoras drugi. Wręczają mu czarę...

Tu włos począł mu się jeżyć na głowie. Alkesta nieco się uniosła. Twarz jej była teraz jednem zaniepokojonem pytaniem. Silnie ujęła rękę młodzieńca i rzekła bardzo dobitnie:

— Nakazuję ci, mów, co widzisz!

— Co widzę? Ludzi uzbrojonych widzę... Anyitos do nich przemawia. Mają iść do domu... do domu... do domu Agatona, aby pojmać... aby pojmać...

— Rozkazuję ci, abyś mnie natychmiast prowadził do domu Agatona!

— Tak, do domu Agatona... Tam oni zebrani... Piją i rozmawiają swobodnie... Teraz on mówi... wszyscy powstali...

— Widzisz ten dom?

— Widzę...

— W którem jest miejscu?

— Przy ulicy wiodącej do Stadjonu...

— Prowadź szybko!

— Tam... prosto... niski dom... Widzę... Puść!... Dręczysz mnie okropnie!... Muszę biedz żywo, żywo!

I rwąc rękę z dłoni Alkesty biegł, ciągnąc ją za sobą i wołając jakimś głuchym, skołowaciałym głosem:

— Do domu Agatona... Do domu Agatona!



SYMPOZYON.

Aczkolwiek mieszano wino z wodą i Platon ciągle upominał gospodarza, aby nie był zbyt hojny, podniecenie powszechne stawało się coraz bardziej widoczne.

Agaton był światowcem. Cenił nietylko filozofję i tragedję, ale także przepych. Idąc za radą Alkibiadesa, ozdobił ściany swego domu malaturami, które pięknie wykonał słynny w Atenach Agatarchos. Kolumny auli, śród której właśnie zażywano przechadzki, były spowite łańcuchami kwiatów. Wszędzie płonęły lampki. Za kolumnami w górze widne było gwieździste niebo.

Wtem trzykrotne klaśnięcie w dłonie zwróciło uwagę przechadzających się gromadkami gości.

W górze ozwały się fletnie łagodne, fujarki o ustawicznych przygrywkach, monochordy, cytry, lekko zadudniał tympanon. Płynęła muzyka niby

śpiew lasu, kiedy wietrzyk potrąci gałązki. Nagle odezwały się niby plusk wód struny barbytonu. Tak fala trąca brzeg gdzieś u zatoki Salamińskiej.

Wtedy ukazał się w głębi jakiś wędrowny młodzieniec. Skrzydła gołębie miał u stóp, glinianką u boku. Idąc wspierał czoło ręką. Zdawało się, że to jakiś pielgrzym, dążący do świętych Delf z troską trapiącą w głowie.

Tony fujarek stały się latające a cytry szeptem strun swoich budziły jakieś pragnienia, jakieś pożądania. Z za kolumn jęły się wychylać uśmiechnięte twarze boginek, poglądały ku pątnikowi a niekiedy zabiegały mu nawet drogę. Ale on ich nie widział. Wtedy chwytały się za ręce i niesłyszalnemi stopy ruszały dokoła niego w korowód taneczny, pląsając niby mgły, kiedy je słońce kolorami swemi pomaluje. Śród tej niemej burzy migających twarzy, oczu, ramion, piersi, stąpa w zamyśleniu młodzieniec, nie widząc nic, w dumaniach i troskach swoich pogrążony. Niektóre boginki do nóg mu się rzucają, obejmują jego kolana; inne zda się u szyi jego się zwieszają. Nie! On jak przez pierzchliwą mgłę stąpa, wszystkie postaci, zatrzymując się w półuścisku, ulatują, nie śmiały go tknąć, tylko smutnieją twarze i muzyka staje się żałosna, pierzchają korowody dalej a dalej, niby widzenie senne. A młodzieniec, pyłem żółtym pokryty, stąpa dalej w swej ciężkiej zadumie.

Przed nim w oddaleniu ukazują się dwie po-

staci: kapłan i garbarz w koronie z wolich rogów. Lewa ręka dzierży pękaty trzos, prawa ukazuje na młodzieńca. Kapłan pogłaskał się po brzuchu z zadowoleniem, skinął głową, wziął trzos, ukrył go pod szatą a garbarz się oddalił.

Teraz kapłan kiwa kilkakrotnie palcem. I natychmiast z za drzewa pomarańczowego, osadzonego w wielkim wazonie, wyszła dziewica w różowej tunice; włos kruczy spięty z tyłu głowy w węzeł, na nogach żółte sandały, których rzemień uwydatniał powaby łydek, gdyż tunika była lekko podpasana pod wypukłemi piersiami. Dziewica idąc miała w rękach zwój pergaminowy, w którym się pilnie zagłębiała. Kapłan wyrwał jej gniewnie ów zwój z rąk, pogroził a następnie ukazał jej skinieniem wędrującego młodzieńca. Na obliczu dziewicy wypłynęło zdumienie, potem zachwyt, uniosła nieco prześliczne ramiona swoje i jak oczarowana sunęła w stronę młodzieńca. Teraz on podniósł oczy i również zdumiony przystanął. Zaledwie jednak dziewica postrzegła ten ruch, ramiona jej opadły, głowę opuściła na pierś, stała się smutną, złamaną. Młodzieniec zbliżył się do niej, ujął ją za rękę, do ucha się jej chylił, coś szeptał — a dokoła muzyka śpiewała jego zaklęcia, grała jego żądaniami, wzbierała jego tęsknotą. Dziewica położyła rękę na łonie i wskazała w dal. Ruszyli tam. Ona coś mówiła mu ze spuszczonemi oczami, on skinieniem głowy wielokrotnem obiecywał. Wtedy nagle dzie-

wica lewą dłonią zakryła oczy jakby w rozpaczy a ręką prawą, dzierżąc dłoń młodzieńca, wysunęła go naprzód.

A on stanął jak oślepiony. Bo w tej chwili ujrzał przed sobą w rażących blaskach różnobarwnych ogni, płonących na spiżowych czarach, biało odzianą wróżkę, bladą śmiertelnie, na trójnogu siedzącą. Klęka przed nią, a ona wręcza mu wieniec, wskazuje ręką w dal i mdleje. Znikają światła, znikła wróżka a pątnik błędnym wzrokiem rozgląda się dokoła, sunie, staje, znowu kroczy, wraca, szuka. I nagle jak człowiek przez sen idący, spiesznie dąży w jednym kierunku i dzierżąc wieniec nad głową, rozpycha tłoczących się gości Agatona, sunie wprost do starca o łysem, wypukłem czole — —

Zagrzmiały oklaski, muzyka skończyła akordem tryumfalnym, otoczono ze wszystkich stron Sokratesa, który przed wieńcem uciekał z auli. Lecz go przychwycono i zatrzymano.

Platon stanął przed Agatonem i rzekł:

— Coś chciał przez to powiedzieć?

— Ja? Nic a nic — odparł Agaton z uśmiechem człowieka, który bywał na dworach tyranów i królów, przeto, gdy chciał, nadawał twarzy swojej wyraz w danej chwili potrzebny.

— Ezop musiał prawdę kryć w bajkach, gdyż był niewolnikiem. Żali dla bajki nową wynalazłeś formę?

— Niewolnik prawił bajki wolnym. Może nastał czas, iż prawdziwie wolni układają bajki dla szczególnego rodzaju niewolników.

W tej chwili zagrzmiały trąby i tympanony, ozwały się przeraźliwe brzęki krotalonu i nagle cała kolumnada wypełniła się różnemi charakterystycznemi postaciami. Tam kowale bili w kowadła, takt muzyki zachowując; ówdzie znowu szewcy szyli sandały, szydłem i dratwą rytm muzyczny utrzymując. Uniosły się płótna ukazując sklepiki z karykaturalnemi postaciami bogów. Pojawiły się kramiki z rękopisami, kwiatami, bronią. Tam i z powrotem przechadzali się różni mężowie, sklepikarze zaciągali ich do swych kramików; oni oglądali, wybierali, kupowali.

Teraz na tym zaimprowizowanym Rynku pojawił się bosy starzec. Wszyscy zwrócili się ku niemu z otwartemi rękami, każdy chylił się przed nim, przyjaźń swą okazywał. Ale starzec wydął się i wzniósłszy rękę uczynił znak klękania. Tedy najbliższy przed nim ukląkł a on puknął mu palcem w czoło i pogardliwie machnąwszy ręką odwrócił się. Ukląkł na jego znak drugi. Uczynił z nim to samo. Potem trzeciemu klęknąć kazał. Niebawem kazał im klękać całemi szeregami a gdy to uczynili, machał pogardliwie ręką i odwracał się od nich. W oddaleniu błysło światło i nagle w czerwonej jasności ukazała się owa dziewica w żółtych sandałach, ze zwojem pergaminowym w ręce, po-

patrzyła na owe szeregi klękające, na owego starca, który nad nimi pogardliwie ręką machał. Obok niej stał trójnóg. Podbiegła do starca, ujęła go za ramię, podprowadziła do owego trójnoga i dawała mu znaki, aby go wywrócił, roztrzaskał; ale on, niebardzo na nią zważając, skinął »nigdy« i znowu zwrócił się do owych ludzi, którzy jednak teraz usuwali się przed nim, a nawet mu wygrażali. Potem wygrażali także inni. Wreszcie wszyscy poczęli wygrażać. Owa dziewica w blasku czerwieni stojąca załamała ręce, rzuciła zwój pergaminowy pod trójnóg, światło zgasło, a teraz owego starca jęły oblegać tłumy, wytykając go palcami, groziły mu, wypychały go dalej i dalej, powstało zamieszanie, muzyka zawrzała burzą tonów i umilkła, wszystkie postaci się rozbiegły, a Platon stanąwszy przed Agatonem, szepnął:

— Okrutny jesteś!

— Nie. Tylko widzę rzeczy jak są — odparł wiecznie uśmiechnięty światowiec-filozof-dramaturg.

Ale w tej chwili zalał całą aulę tłum niewolników, roznoszących pełne dzbany i podających czary gościom, którzy oblegali ze wszystkich stron Agatona, zasypując go pytaniami, powinszowaniami, interpelacjami. Między nimi zjawił się także Arystofanes, nieduży człowieczek o nosie nieco zaczerwienionym, spocony, zjadliwie uśmiechnięty. Rzekł do ucha Agatonowi: »Moje Obłoki także nie pomogły«. Agaton zapraszał wszystkich do jednej

z przyległych izbic, gdzie widniał stół zastawiony. Goście układli się na wezgłowiach. Służba obnosiła mięsiwa, nalewała wino. Powstał ów wesoły, zmieszany gwar biesiadny, a Agaton obchodził wszystkich patrząc, aby się każdy należycie uraczył. Rozmawiano bezładnie, grupami. Dokoła Arystofanesa było najweselej, gdyż ciągle coś opowiadał. Toteż tam skupiały się głowy, o ile śmiech nie rozrzucał tych głów na wszystkie strony. Po ostatniem daniu wstał Kryton i odegrał przegrywkę na kitarze. Nastała cisza.

I oto zabrzmiał głos nadzwyczajny, niby śpiew ludzkiego słowika, w którym zaiste niewiadomo co przeważało, miłość czy męstwo. Kryton śpiewał ulubiony erotyk Anakreonta.

Wszyscy pochylili głowy. Na twarzach malowało się radosne rozrzewnienie. Ani jedna czarka nie zadźwiękła, najlżejszy szelest ciszy nie zamącił. Głos płynął potężnie, ów głos rozkochany, który jak kwiat magnolji siał czar na wszystkich.

Kryton przymilkł na chwilę, uderzył w kitarę, leciutki deszczyk tonów spadł i po nim znowu ozwał się śpiew dalszemi strofami erotyku, którego słowa były następujące:

»Chciałbym się zamienić w zwierciadło,
»Szczęśliwe, że ma twe spojrzenia!
»W przepaskę chciałbym się zmienić,
»Co czoło twoje ocienia...
»W ten sandał, co tak pokornie

»Ujmuje nóżkę twą małą,
»Chciałbym być falą, śród której
»Rozkosznie pluska twe ciało!«

Poezja powiała po zgromadzeniu. Kiedy Kryton skończył, Sokrates powstał i spełnił czarę na cześć życia.

Na to Agaton kazał wnieść kosze kwiatów. Sokrates ujął różę i rzucił nią na Krytona. W tej chwili biesiadnicy poszli za jego przykładem i niebawem powstał istny deszcz róż, który smugami barwnemi opadał dokoła głowy młodzieńca.

Znowu podniósł się Sokrates i rzekł, że skoro Ateny obchodziły dziś święto wolności politycznej, niechaj tu w tem gronie przyjacielskiem święci się święto wolności moralnej, najpiękniejszej ze wszystkich wolności. Nikt go jako siedmdziesięcioletniego starca o płochość posądzić nie może; przeto występuje z wnioskiem, aby ogólną rozmowę poświęcić sprawie, którą Kryton uczcił przed chwilą pieśnią największego liryka, jakiego posiadała Hellada. Niechaj rozmowa toczy się o Erosie. On sam gotów pierwszy mówić. Eros, duch skrzydlaty i bożek wzajemnyuh ludzkich związków, najpiękniejszych, bo dobrowolnych. Eros nie jest symbolem rozhukanych zmysłów, ale symbolem tych świętych węzłów, które spoistością swą przechodzą granit i żelazo. Eros może natchnąć obywateli najpodnioślejszemi myślami. Zawsze mówił i wpajał w młodzież, że gdyby wszyscy Grecy stali w ta-

kim stosunku do Hellady, jak kochankowie do kochanek, nie byłoby wojen peloponeskich, nie byłoby podziału obywateli na Demos i Oligarchję. Istniałby jedynie podział na ludzi większej i mniejszej miłości.

— Nie wierzcie — mówił w dalszym ciągu, — że tylko rozum zniewala do zajmowania się umiejętnościami. Trzeba wielkiego ukochania przedmiotu. Rozum bywa zimny jak marmur. Miłość Fedjasza nadaje mu kształty, ciepło i życie. Gdyby nie było tego ukochania prawdy, Anaksagoras zostałby w kraju i zajmował się lepieniem garnków a Tales byłby płatnym wróżkiem. Eros prowadzi uczonego za rękę i przyświeca mu śród wszystkich mroków wątpliwości. Eros jak wierny stróż powstrzyma nieraz czcze zapędy logiki. Gdyby Wolności nadać postać Erosa, zgasłaby nieufność, zczezłyby argusowe spojrzenia, rozwiałaby się ciągła trwoga o możliwość utraty swobody. Eros powinien być bóstwem mężów, piastujących publiczne urzędy. Eros powinien być kierownikiem rzeczypospolitej ateńskiej. Eros powinien węzłem braterstwa spoić Spartę z Atenami, złączyć w jedną rodzinę Beotów, Tebańczyków, Koryntjan. Eros powinien mieć ołtarze na wszystkich wyspach Archipelagu.

Długo mówił w ten sposób śród ogólnego milczenia, a potem ujął czarę w rękę i tak kończył:

— Ja, który całe życie czciłem rozum i wie-

dzę, powiadam wam dzisiaj: nie zapominajcie o tym Erosie, do którego teraz dobraliśmy się dziwnie zgodnem uczuciem wiedzeni a który na wszystkie niedole rzuca promyk swego łagodnego uśmiechu. Piję i wzywam was, abyście pili: niechaj Eros zamieszka w sercach obywateli a przedewszystkiem w waszych, zacni młodzieńcy!

Przytknął czarę do ust i wypił.

Powstał niesłychany entuzjazm. Otoczono starca ze wszystkich stron i ściskano za ręce. Ale Pauzanjasz stuknął czarą w stół i zabrawszy głos zwrócił uwagę biesiadników na to, iż w rzeczywistości gmin odróżnia dwóch Erosów, jako i dwie panują Afrodyty, jedna córka Uranosa, wieczysta, druga córka Dzewsa, gminna. Ta druga prowadzi do zboczeń, jako naprzykład obcowanie z chłopcami.

Zaraz też wtrącił Arystofanes, lubiący zawsze ukazywać śmieszne strony zagadnienia, że Eros w czasach ostatnich dzięki zabiegom Sokratesa, który prócz uczniów zdołał zgromadzić koło siebie także uczennice, do nowej musi zabrać się roboty i wytworzyć dotąd nie istniejący typ ludzki a mianowicie hermafrodytyczny, czyli współpłciowy, aby każdy miał w sobie to, na co poluje u drugich i tem wspólność pracy filozoficznej psuje.

Tu i ówdzie powstały przytłumione chichoty. Ale Simjasz przechylił się przez stół i rzekł mu prosto w oczy:

— Jesteś genjalną... świnią.

Na to Arystofanes odpowiedział mu wesoło, że skoro dziś panuje Eros, to mu obelgę wybacza. Zresztą nie dziwi się nawet temu słowu Simjasza, bo prócz tamtego święta jest dziś dzięki Agatonowi święto boga wina, któremu właśnie zarzynano na ofiarę świnie. Uważa się tedy za zarżniętego, sam nawet gotów... urżnąć się, byle Agaton mniej wody dolewał do wina.

Wtem zewnątrz domu powstał jakiś hałas a zarazem ozwały się dźwięki fletni i piszczałek. Wszyscy się poruszyli a Agaton wysłał sługę, by się dowiedział o powód onego zajścia.

Sługa wyszedł i wrócił z miną kłopotliwie rozradowaną, coś szepcząc Agatonowi. Ten skinął mu ręką przytwierdzająco. Sługa wyszedł.

Wszyscy obrócili twarze w stronę zasłony, którą podnoszono.

J oto na czele orszaku pijanych Ludzi Leśnych i nimf szedł coraz bardziej krojący na Dyonyzosa Alkibiades, bo już w pląsach, już trzymał u ust fujarkę i piszczał na niej niemiłosiernie. Nimfy chciały uciekać, lecz Ludzie Leśni wpychali je do izbicy.

— Ten nam coś powie o Erosie! — zawołał Arystofanes.

— Eros? — rzekł pijany Alkibiades. — Jest to jedyny bóg, któremu istotnie złożyłem w ofierze całe moje życie...

Ludzie Leśni podnieśli niesłychany wrzask a Alkibiades, odwracajac się do nich, zawołał:

— Ciszej, kosmata hołota, bo tym razem wkroczyliśmy do domu porządnych ludzi!

Potem przytknął do ust fujarkę i zaczął grać a wnet jęły mu wtórować inne instrumenty. Ludzie Leśni i nimfy odtańczyły taniec bachiczny, poczem Alkibiades skłonił się obecnym i zwracając się głównie do Sokratesa, wygłosił następującą mowę:

— Ja, bóg wina, Dionyzos, wymknąłem się Ateńczykom i postanowiłem z wesołym orszakiem moim pójść, gdzie bawi się filozofja. Nawet Dionyzos pod koniec biesiady zostaje filozofem. Podobno mówiliście tu o Erosie? Znakomity temat. Zwracam jednak uwagę, że Dionyzos jako opój nie zna się należycie na sprawach Erosa. Wszelako ja jestem takim Dionyzosem, który kiedyś wyłącznie zasługiwał się Erosowi...

— Jako to zmienność wogóle dość ci łatwo przychodzi — padł z głębi głos.

Alkibiades zbladł, popatrzył w stronę ukrytego mówcy i rzekł:

— Wiem, że był ze mnie polityczny łajdak, i że walczyłem raz z wami, to znowu przeciw wam. Ale może właśnie dlatego, że zawsze padał na mnie jakiś głos z ukrycia.

— To zapomniane, zapomniane — ozwali się liczni biesiadnicy.

— Skoro tedy zapomniane i skoro niezawodnie już mówił wam o Erosie nasz wypukłoczoły Platon — —

— Nie mówił jeszcze...

— Simjasz —

— Także nie mówił!

— Echekrates — —

— Ani on!

— No to wcale jeszcze nie jesteście zmęczeni. Wypędźcie tedy te podmalowane nimfy, bo mi już obrzydły, a ja wam powiem, dlaczego chcę głosić Erosa, a głosząc go, będę mówił tylko o Sokratesie.

— Precz nimfy! — zakrzyczeli Ludzie Leśni.

— Nie wypędzać ich — zawołał Arystofanes. — Niechaj bodaj raz posłuchają, jak tu niektórzy zamienią Alkibiadesa w beczkę i na niej jechać będą!

Alkibiades zwrócił się do Sokratesa:

— Mistrzu! Ja nie Arystofanes...

W tej chwili zwrócił się Arystofanes w tę samą stronę i rzekł:

— Mistrzu, ja znowu bynajmniej nie jestem Alkibiadesem...

Alkibiades ciągnął dalej:

— Nie jestem Arystofanesem, to znaczy: nie targnę się nigdy na to, co czci warte. Ja łajdak, pijak i zdrajca głupich intrygantów ateńskich, nie oszkalowałem jednak nigdy wielkiego człowieka. Wara tknąć takiego! Otóż przyznam się, że razu pewnego przyszła mi do głowy rzecz następująca. Przecież to niemożliwe, pomyślałem sobie, żeby

nasz mistrz nie miał żadnych wad. Pewien wróżek powiedział mu, że ma twarz przestępcy. On objaśnił go, że się nie myli, ale wszystkie swoje złe chuci ujarzmił. Tak? mówię sobie. Dobrze. Wszak wiecie — no, nie teraz, kiedy już wieńcem pokrywać muszę łysinę — ale swego czasu — te nimfy tego pamiętać nie mogą — byłem najpiękniejszym chłopakiem w mieście i wszystkie kobiety uważały sobie za wielkie szczęście, jeżeli je, jak się to mówi, unieszczęśliwiłem. Otóż postanowiłem sobie unieszczęśliwić mędrca. Udając tedy nocy pewnej, że do domu dostać się nie mogę, do niego zachodzę i do jednego kładę się z nim łoża. Gdy usnął i sądziłem, że się rozmarzył, począłem go kusić. A on? Jakem ten, który szedł do Sparty! Jakem ten, co to razem z podobnymi sobie wisielcami umiał tłuc hermy — poskromił mnie, jak matka dziecię niesforne poskramia i pokazało się... Ba, boście go też nie widzieli, młokosy, pod Potideą, a zwłaszcza pod Delionem, kiedy w potokach krwi gasła pochodnia naszej sławy, kiedy w haniebnym popłochu uciekały z pola nasze hufce – on jeden z Lachesem powstrzymywał uciekających, on jeden, gdy nawet Hippokrates bił z rozpaczy łbem o kamienie, zachował zimną krew i stał tak, jako dziś go tam widzicie, równy, spokojny, spiżowy, mąż, mędrzec — Dajmonium!

Alkibiades, mówiąc to, wytrzeźwiał zupełnie. Wieniec spadł mu z głowy. Uczucie wyszlachetniło

jego rysy. Jakiś dawno wystygły zapał buchnął mu na twarz płomieniem a z oczu ściekały łzy. Usta ściągał mu kurcz. Postąpił krok naprzód, kląkł przed Sokratesem, objął go za nogi.

Ludzie Leśni jęli się lękliwie oglądać dokoła, nimfy usuwały się do ścian. Cisza nadzwyczajna zaległa. A Sokrates pochylił się nad zaszarganym człowiekiem, położył rękę na jego głowie i uśmiechając się dobrotliwie, rzekł:

— Tak jak ty mnie przeceniasz, tak znów ciebie, nieszczęśliwcze, niedoceniano!

Nagle znowu uniosła się zasłona i dał się słyszeć głos o tonie urzędowym:

— Jest tu między wami Sokrates, syn Sofroniska?

— Jestem — odrzekł starzec, usuwając zwolna rękę z głowy Alkibiadesa.

U wejścia stało dwóch uzbrojonych hyperetów, z których jeden ozwał się:

— Z rozkazu archonta przychodzę zaprowadzić cię do więzienia.

Wszyscy zerwali się z miejsc. Powstał nieopisany zamęt. Agaton szybko ruszył w stronę hyperetów.

Sokrates dawał znak ręką, aby się uciszono a następnie zwrócił się ku hyperetom i zapytał:

— Żali zostałem o co oskarżony?

— Dowiesz się w więzieniu — odparł spokojnym głosem ów człowiek. — Czy gotów jesteś, Sokratesie, pójść ze mną w tej chwili?

— Tak jest.

— Tedy idźmy.

Tłum biesiadników zakołysał się. Zawrzały okrzyki:

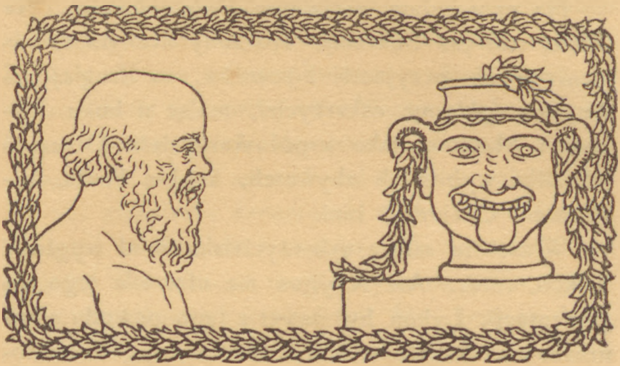
— Precz z nimi, wyrzucić ich!

Żołnierz spojrzał na Sokratesa, ten znowu podniósł rękę, aby się uciszono, następnie rzekł:

— Czemu utrudniacie temu człowiekowi spełnianie obowiązku? Prowadź mnie, obywatelu, dokąd ci rozkazano. A wy bywajcie zdrowi i dobrej myśli.

Ruszył ku drzwiom, mając po obu bokach urzędników. Agaton chwycił za ramię hypereta, ale Sokrates powstrzymał go.

Wyszli wśród niesłychanej ciszy. Ale po chwili cały tłum runął za nimi do przedsionka i na ulicę.



APOLOGJA.

Słońce dobiegało już szczytu południowego a z Rynku do teatru Dionyzosa wciąż jeszcze napływali grupami wylosowani heljaści, wykazując się u wejścia spiżowemi tabliczkami z wyobrażeniem Gorgony, na których było wypisane imię sędziego i tytuł sprawy. Sadowili się w rzędach niższych, które były ciosane z marmuru. Wyższe rzędy niedokończonej budowli składały się ze zwyczajnych ławek drewnianych, ustawionych półkolem na spadach góry. Panował tam już od kilku godzin natłok ogromny, gdyż sprawa budziła powszechne zainteresowanie. Od chwili aresztowania Sokratesa o niczem innem nie mówiono w Atenach.

Straże, ustawione w różnych miejscach, pilnowały porządku.

Na proscenium ustawiono dwie mównice. Na jednej stał już Sokrates, otoczony licznym orszakiem swych przyjaciół i uczniów, na drugiej zaś Anyitos, główny oskarżyciel, mając u boku Lykona i Meletosa jako współoskarżycieli. Otaczało ich kilku wybitnych obywateli, kapłan Feaks, Lizikrates, Chajeris i inni.

Właściwie mowę oskarżycielską miał wygłosić Lykon, retor. Ale Anyitos nie ufał sile jego argumentacji. Lykon był nawet z tego powodu nieco urażony na Anyitosa; lecz rychło się pogodził z losem, gdy zauważył, że opinja chwieje się na różne strony i wygrana jest co najmniej wątpliwa.

Czekano na przybycie prytaneusa Bakisa, który miał zająć miejsce wprost mównic na wspaniałem marmurowem krześle, na którem w czasie widowisk siadał kapłan Dionyzosa. Od tego krzesła półkolem w lewo i w prawo, oraz rzędami w górę, wszystkie miejsca sędziowskie prawie już były zajęte. Widniała głowa przy głowie w liczbie pięciuset.

Anyitos patrzył po tych rzędach z pewnem zaniepokojeniem. Czuł, że ważył się na rzecz śmiałą. Wahał się długo. Wprawdzie w czasach ostatnich prawie całe Ateny były dla Sokratesa bardzo źle usposobione; ale przecież Demos zwykł był łączyć ze sobą imiona Trazybula, Lachesa, Sokratesa i — Anyitosa. Dzięki tym czterem nazwiskom oligarchowie zostali wypędzeni z miasta. Ale sto-

sunki szybko się zmieniały. Trazybul dobrowolnie się usunął z widowni politycznej, to samo uczynił Laches. Miano z początku za złe Anyitosowi, że nie starał się ich zatrzymać. Miano za złe — i niebawem o wszystkiem zapomniano. Zresztą ci prawdomówni ludzie narazili sobie wielu obywateli. Po ich ustąpieniu zapanował spokój a Ateńczycy dość już mieli walk i swarów. Wszczęcie sprawy przeciw Sokratesowi mogło było na nowo wydobyć z popiołów iskry niechęci. Ale obrażona duma i zawiedzione zamiary nie dały Anyitosowi zmrużyć powiek. On, który tak liczył na tego starca, który chciał go uczynić filarem nowoczesności ateńskiej, został potraktowany jak próbne narzędzie tego filozoficznego pyszałka. Sokrates nawet się nie domyślał, jak głęboko zranił Anyitosa. Przytem wspólnicy, Lykon i Meletos, ustawicznie podżegali garbarza. Z jednej strony obywatelstwo coraz namiętniej burzyło się na mistrza, z drugiej strony cała młódź coraz silniej lgnęła do niego. I podzieliło się miasto na dwa obozy, młodych i starych, które walczyły ze sobą o każdej porze dnia, przy każdej sposobności, w zaciszu domowem, na Rynku, na Pnyksie, w Muzejonie. Nawet w czasie rozpraw sądowych zdarzały się sceny niezwykłe; młodzi obrońcy wnosili do juryzdykcji nowe pojęcia, które niezmiernie jątrzyły ludzi starych, a najbardziej może z tego powodu, że były bardzo ciągłe, bardzo nieokreślone, gubiły się w mgli-

stych widnokręgach a opierały się na jakichś poczuciach, nieznanych starszemu pokoleniu.

I to postrzegł Anyitos, że pomiędzy rzuceniem oskarżenia a udowodnieniem winy leży przepaść. Jeżeli nie uzyska większości głosów, zostanie skompromitowany; jeżeli nie uzyska jednej piątej głosów, będzie musiał zapłacić tysiąc drachm kary; jeżeli w dodatku oprze gołosłowne oskarżenie na obrazie religji, zostanie mu na zawsze wzbroniony wstęp do świątyń. A Sokrates mógł mieć w mieście więcej zwolenników, niż przypuszczano. Ostatecznie, jak się to zwykle dzieje, rozstrzygnął przypadek.

W czasie uroczystości Anyitos miał wygłosić mowę przeciwko Sokratesowi. Ale choć przyrzekł Lykonowi i Meletosowi, że to uczyni, był przekonany, że owej fatalnej mowy nie wygłosi, że nastrój ludu nie będzie po temu, że wytłomaczy się później przed przyjaciółmi i zasłoni nieprzyjaznemi okolicznościami. Stało się inaczej. Owacja, którą w czasie pochodu urządzono Sokratesowi a o której wieść dobiegła do Anyitosa w chwili, gdy wstępował na mównicę, wzburzyła w nim żółć. Lykon i Meletos trzęśli się z wściekłości. Anyitos sam nie pamiętał, jak się to stało, że wybuchnął tą mową. A przytem mowa udała mu się. Nabiegały mu na język najśmielsze pomysły retoryczne, najlepsze argumenty lęgły mu się w głowie błyskawicznie. W czasie mowy przypomniało mu się, że tyran Krytjasz był uczniem Sokratesa. Był nim

także Alkibiades. Tego ostatniego nie wymienił wprawdzie, ale lud się dorozumiał, kogo miał na myśli. Wrażenie było piorunujące. A więc taki wpływ wywierają nauki tego starca? Tak chce pokolenie gotować do pracy obywatelskiej? Lecz oszołomienie trwa krótko. Niektórzy schodząc już z Akropolisu głośno mówili o przesadzie Anyitosa. Ale już niepodobna się było cofnąć. Lykon miał gotowy akt oskarżenia. Wręczono go archontowi. Rozkaz aresztowania wydano natychmiast.

Teraz należało rozwinąć akcję celem zapewnienia sobie głosów większości. Wszyscy trzej uwijali się po mieście. Przypadek zrządził, że wylosowani heljaści składali się przeważnie z ludzi mniej znanych oskarżycielom. Trzeba było nawiązać z nimi stosunki, objaśnić ich, co po części z tego powodu się udawało, że na ludzi nieznanych łatwiej wpływać osobom wybitnym, niż na znanych, gdyż stosunek jest już nieco poufały. Ale Anyitos wciąż jeszcze nie posiadał pewności. Wtedy wpadł na śmiały pomysł. Postanowił wpłynąć na to, aby sąd odbył się w możliwie największym gmachu, aby świadkami byli wszyscy obywatele. W tłumie będzie cały zastęp jego przyjaciół, będą okrzykami wpływali na usposobienie sędziów. To w zupełności mu się udało. Stojąc teraz na mównicy rozglądał się po teatrze, kiwał głową powitalnie na różne strony, licząc w pamięci wszystkich swoich zwolenników. To samo czynili Meletos i Lykon.

W twarzach ich przebijała się jednak niepewność, którą pokrywali maską znakomicie wystudjowanego uśmiechu światowego.

Sokrates stojąc na swej mównicy był niezmiernie swobodny. Rozmawiał z przyjaciółmi, jak gdyby znajdował się na Rynku, albo w gaju cyprysowym. Usposobienie jego udzielało się otoczeniu. Jeden tylko Platon był pochmurny i siedząc na stopniu mównicy, milczał zapatrzony w przestrzeń.

Czuł aż nadto dobrze, że gdy tego rodzaju oskarżenia są skierowane przeciwko ludziom jak Sokrates, katastrofa jest nieunikniona. Sokrates nietylko nie będzie się rzeczowo bronił, ale rozdraźni sędziów. Znał jego prawdomówność i bezwględną szczerość. Teraz nie starał się już nawet przekonywać mistrza, gdyż wiedział, że to nie zdałoby się na nic. I byłoby to nawet obecnie niegodne. Każdy sam śpiewa pieśń swego żywota, tem bardziej taki człowiek, jak Sokrates.

W najwyższych rzędach widać było kilka kobiet. Twarze ich były przysłonięte. Obok jednej siedział Chajrefont, blady i roztargniony.

Towarzyszka Chajrefonta nie patrzyła na Sokratesa, choć był bohaterem chwili. Skierowała wzrok na Platona, jak gdyby z jego twarzy chciała wyczytać, co on o tem wszystkiem sądzi.

Platon uczuł widocznie jej spojrzenie na sobie, gdyż podniósł głowę otoczoną ciemnym, matowym włosem. Zaświatowe jego oczy zbudziły się, twarz

oliwkowa rozpromieniła się nieco smutnym uśmiechem. Spojrzenia te ich spotkały się ze sobą. Skinął głową na powitanie, a po chwili popadł w pierwotną zadumę.

W teatrze panował gwar. Tu i ówdzie toczyły się już nawet zacięte spory około słuszności sprawy jednej lub drugiej strony. Wtem wszedł prytaneus.

Nastało ogólne poruszenie a straże jęły stukać. Ale teatr uciszał się bardzo wolno.

Prytaneus był sędziwym starcem. Idąc witał się z wszystkimi czy to skinieniem ręki, czy niezmiernie dobrotliwym uśmiechem. Gdy stanął przed swem krzesłem marmurowem, rozejrzał się z pewnem zdumieniem po natłoczonych rzędach. Potem skłonił się bardzo poważnie Anyitosowi, następnie przesłał przyjacielski uśmiech Sokratesowi, albowiem był jego towarzyszem broni z pod Potidei i Deljonu.

Następnie dał znak ręką a straże jęły ponownie stukać. Teatr uciszył się.

Z modrego stropu niebios lał się blask złoty na marmury i na gwarliwe tłumy. Spiekota była niesłychana. Niektórzy ponakrywali sobie głowy chustami, wiejąc niemi dla ochłody i patrząc z pod nich w stronę mównic.

Prytaneus zagaił krótko. Polecił odczytać akt oskarżenia. Bezpośrednio potem zabrał głos Anyitos.

Z początku mówił poprostu nieśmiało. Na bladych jego ustach błąkał się uśmiech zakłopotanej

uprzejmości, która nie odpowiadała dość wulgarnym rysom jego twarzy. Niebawem jednak zapanował nad wzruszeniem.

Nie patrzył zupełnie w stronę oskarżonego. Zwracał się albo do prytaneusa, albo w trzy strony do sędziów.

Teraz w teatrze panowała taka cisza, że słychać było ptactwo, przelatujące górą z ćwierkaniem.

Anyitos zapewniał, że oskarżycielami nie kieruje żadna osobista uraza, co wywołało na twarz Feaksa przelotny uśmiech ironji. Twierdził, że przez długi czas żywił dla oskarżonego uczucia przyjaźni i czci. Razem walczyli o jedne cele, razem za kraj narażali życie. W czasach ostatnich stosunek był nawet bardzo bliski. Anyitos powołuję się na to, iż zamierzał powierzyć Sokratesowi dozór nad ukształceniem młodzieży. Tak mu w zaślepieniu przyjacielskiem ufał. To poprą niezawodnie liczni świadkowie, którzy już wówczas zdania jego nie podzielali, bo im przyjaźń oczu nie ćmiła.

— Tak, tak — ozwały się liczne głosy.

Anyitos powiódł dokoła oczami i wtedy mimowoli spotkał się ze spojrzeniem Sokratesa. Spojrzenie to było tak spokojne i tak dobroduszne, że Anyitos zagryzł wargi i zmieszał się. Miał właśnie rozpocząć nowy okres, ale wzrok Sokratesa zmylił go.

Zarazem poczuł, iż nie będzie mówił już tak spokojnie. To też po kilku słowach głos jego po-

czął wzbierać jak wiatr, gdy przed burzą wzdyma kurzawę i pędzi pozrywane liście.

Mówił, że dawny stosunek przyjacielski musiał prysnąć wobec kierunku, jaki dla swej działalności obrał oskarżony. Więc zmienił się nie on, Anyitos; zmienił się filozof a może tylko odsłonił.

Wszelkie państwo opiera się na starych tradycjach, na wierze ojców, na religji. Dobro publiczne wymaga, aby ta zasada była nienaruszalna. Jakże można zuchwałą ręką targać fundamenty, robić w gmachu ojczystym wyłom niebezpieczny, burzyć świętość, której zbudowano tak wspaniałe przybytki na Akropolu, w mieście, we wszystkich ziemiach Hellady, którą otoczono wiekopomnemi dziełami sztuki, która dawała tyle dowodów opiekuńczej łaski. Jakże można w umysły nieletnie wszczepiać wątpliwości, gorzej, bo niewiarę w to, w co wierzy ogół! Jakże można zuchwałych młodzików podburzać przeciw wierze i powadze ojców, powadze religji, powadze obyczajów, powadze tradycji!

Głos jego potężniał z każdą chwilą. Na słuchaczach wywierał istotnie wrażenie wielkie.

Przy ważniejszych ustępach Lykon kiwał potakująco głową a Meletos na znak oburzenia podnosił ręce w niebo. Ale zaraz potem strzepywał kurz ze swej togi, co czynił z wielką starannością i co niezmiernie odbijało od owego tragicznego wznoszenia rąk w niebo.

Sokrates natomiast słuchał wciąż z dobrotliwym uśmiechem. Spokój jego zaczął się udzielać innym. Ci i owi odwracali wzrok od Anyitosa na niego. Bo i to każdy wiedział, że walka dla oskarżyciela może się zakończyć w najgorszym razie porażką moralną; tymczasem dla oskarżonego może się skończyć — tragicznie. Spokój ten dowodził nietylko pogody umysłu, ale i pogody sumienia. Czyż tak wygląda człowiek, siejący zgubny wpływ i stojący wobec groźnego sądu, który jest mocen postanowić o nim rzecz ostateczną?

Przytem to czoło wypukłe, te rozumne oczy, ta twarz dziwnie brzydka a ujmująca, zaniedbanie mędrca, bose nogi filozofa, wszystko to także oddziaływało na obecnych. Mistrz w chwili, gdy padały słowa najcięższego oskarżenia, zabawnie pociągał nosem, albowiem w więzieniu nabawił się kataru. Całkiem bezwiednie, całkiem samorodnie kiełkowała wszędzie dla niego życzliwość. A także bardzo rozbrajał wiek jego sędziwy. Jakże tu karać śmiercią człowieka, który może za kilka tygodni sam oczy zamknie!

Anyitos poczuł to. Dlatego począł się wysilać na coraz jaskrawsze argumenty. Ale nie uwzględnił tej okoliczności, że słowo silne, użyte dwa razy, traci na wadze i osłabia wrażenie. A wiele z tych słów padało wobec tych samych słuchaczów po raz drugi. Pierwszy raz padły na Akropolu, a wtedy, gdy nawet nazwisko Sokratesa nie zostało wymie-

nione, działały potężnie. Teraz, drugi raz użyte i to konkretnie, w dodatku urzędowo, przeciw tam stojącemu dobrodusznemu starcowi, nie wywierały pożądanego wrażenia. Przytem Anyitos wskutek zmieszania jął powtarzać całe okresy z mowy ówczesnej. To też nagle przeszło mu jak groźna błyskawica przez głowę, czy rzeczywiście nie byłoby się stało lepiej, gdyby był przemawiał Lykon.

Rzucił na niego spojrzenie. Retor zawinął się całkiem w swą togę i miał twarz wyroczni, która się namyśla. Anyitos odwiódł od niego wzrok w przestrzeń. Lykon nie wejdzie teraz na mównicę, nie dokończy za niego. Niema rady. On mówi, Anyitos, i musi mówić dalej.

Toteż w mowie jego czuć było pewne zachwianie. Poczynały go palić różne szydercze spojrzenia. Twarz Feaksa wyrażała ironiczne wybaczanie. Chajeris raz po raz puszczał młynka palcami i nawet na niego nie patrzył. A w twarzy Lizikratesa, niezmiernie do wilka podobnej, widać było zdanie: chciałeś zostać archontem i nie zostałeś a mnie przeszkadzałeś; teraz, widzisz, upadniesz a ja nim zostanę.

Anyitos z rozpaczą odwrócił spojrzenie od niego i skierował je na prytaneusa. Ale to było już najgorsze ze wszystkiego, co uczynił.

Bo starzec ten o rysach niezmiernie regularnych, pełen powagi i znanej bezstronności, patrzył na niego wzrokiem chłodnym, pogardliwym. Pod

Deljonem odniósł ciężką ranę. Sokrates wielokrotnie odwiedzał go w namiocie i długie z sobą toczyli rozmowy. Starzec był mężem światłym, przyjacielem Gorgiasa, Prodikosa. Nauki Sokratesa bynajmniej nie cenił i nieraz nawet odzywał się, że Sokrates tylko wypaczył to, co zbudował Anaksagoras. Ale taki pogląd na działalność starego druha i towarzysza bojów, klęsk i zwycięstw, nie upoważniał jeszcze do zamykania go w więzieniu i do wytaczania mu haniebnego procesu.

Anyitosowi zdawało się, że mównica pod nim się chwieje. Wtedy ogarnęła go wściekłość.

Ale też i wtedy zazwyczaj mówił najlepiej.

Toteż niby huragan wpadł na ostatnie dwa lata działalności Sokratesa. Kto nie uczci rodziciela, mówił, ten i ojczyzny nie uczci. Młodzież pod wpływem nauk starca wnosi do domów rodzicielskich swar i krnąbrność. Czyż ma wyrosnąć nowe pokolenie zaprzańców, którzy pod widocznymi wpływami oskarżonego zmieniali ojczyzny jak niewygodne sandały?

Siać złe ziarno, wychowywać ojczyźnie zdrajczych obywateli, to zbrodnia, zbrodnia cięższa od mężobójstwa. A jaki żywot prowadzą ci nowi, ci rzekomo szlachetni? Czyż ma wspominać o ich nocnych biesiadach, na których ukazywano karykatury bogów, wyśmiewano wróżby, wyszydzano wiarę?

Gdy głosił te słowa z niesłychaną siłą, ze stopnia mównicy powstał wytworny Agaton, postąpił

krok naprzód, skrzyżował ręce na piersiach i dumnie utkwił wzrok w Anyitosie. Zdawało się, że mówi: mnie oskarżaj, ja to czyniłem, nie tamten. I zdawało się, że jeszcze to także mówi: spróbuj mnie skargę wytoczyć!

Lykon i Meletos ujrzawszy go tak stojącego, bardzo się zmieszali i odwrócili głowy. Ale Anyitos tak się zaciekł, że go wcale nawet nie widział.

Wyrzucał z gardła ostatnie zdania. Był to rzeczywiście jakiś huragan. Cały wygiął się, rękę naprzód wyciągnął i palcem wskazującym bił raz za razem w powietrze. Kępiaste jego brwi zbiegły się w dwa olbrzymie krzewy; z pod tych krzewów błyskały siwe oczy jak dwa ostrza stalowe. Wygolona twarz jego była purpurowa, przez czoło płynęła wielka kropla potu. Białe, równe, duże zęby świeciły jak kły rozjuszonego zwierza. Ale zwierz ten zawładnął w tej chwili umysłami prawie wszystkich słuchaczów. Uniesienie działało.

Natężył głos do najwyższej potęgi i rzucił między heljastów niby grom ostatnie zdanie.

Tak, zła nauka cięższa od przelewu krwi. Niszczy wszelką spójnię wewnętrzną, zaraża całe pokolenia. Tu też niema według prawa ateńskiego innej kary, tylko jest jedna, która stosowana już była, jedna, ciężka, ale nieunikniona a jest nią — śmierć!

Wyraz ten rzucił między sędziów z taką bezmierną siłą, że wszyscy mimowolnie z miejsc się

porwali. Skończył. Oddychał ciężko. Zszedł z mównicy. W teatrze zawrzało jak w pszczelnym ulu. Rozmawiano chaotycznie. Heljaści między sobą spierali się, jedni biegli do drugich, trzęśli rękami. Meletos i Lykon winszowali Anyitosowi a nawet Feaks skinął kilkakrotnie głową na znak, że jest zadowolony.

Prytaneus rozglądał się po teatrze, czekał, wreszcie skinął ręką. Straże poczęły znowu stukać, wszyscy obrócili głowy w stronę Sokratesa i nagle nastała zupełna cisza.

Teraz mówił oskarżony.

Po świetnej mowie Anyitosa gawędliwy głos jego wywierał wrażenie nieprzyjemne. Wiała z tego głosu jakaś szarość, pospolitość, prostactwo. Zaczął od tego, iż mówi bez wszelkiego przygotowania. Chajeris zawołał: »Czuć to!« Sokrates natychmiast zwrócił się ku niemu i wyjaśnił, że ubliżałoby mu jako uczonemu, gdyby w sprawie tak prostej niby młodzik układał frazesy i może jeszcze uczył się ich na pamięć!

Ten argument rozbroił Ateńczyków i wywołał pewną wesołość. Niektórzy nawet poczęli dość złośliwie spoglądać w stronę mównicy oskarżającej.

W dalszym ciągu Sokrates twierdził, że Anyitos bynajmniej trafnie stosunku przyjacielskiego nie określił. Zachodzi pewna uraza osobista, choć niesłuszna. Oto wyrocznia delficka uznała go za najmędrszego z ludzi. Trudno mu było z tem się po-

godzić, więc jął się dokoła siebie obzierać za mędrszymi. Szukał ich w Anyitosie, Meletosie i Lykonie. I doprawdy — nie znalazł...

Tu stronnictwo oskarżycielom nieprzychylne zaczęło się śmiać. Ale natychmiast stronnictwo przeciwne podjęło taką wrzawę, że Sokrates musiał przerwać i czekać.

Dopiero wdanie się prytaneusa doprowadziło teatr do porządku. Straże zaczęły stukać. Nastała cisza.

Sokrates zaczął teraz od tego, iż bynajmniej nie uważa siebie za mędrca. Tem chyba od innych różni się sofistów, iż widzi jasno całą bezsilność swego rozumu. Dlatego też nie śmiał wzorem innych retorów pobierać za skromną naukę jakiejkolwiek zapłaty. Nie powołuje się pod tym względem na niczyje zeznania. Świadkiem najlepszym jest jego — ubóstwo.

I tu z natury rzeczy oczy wszystkich obróciły się na retora Lykona, który stał zaczerwieniony jak grzebień koguta. Zerwała się krótka wrzawa. Lykon krzyknął: »Zuchwalstwo bezgraniczne!« Znowu prytaneus musiał dać znak ręką a straże jęły stukać. Gdy teatr się uciszył, Sokrates mówił dalej.

Zaznaczył, że zaiste trudno mu będzie porozumieć się z sędziami, skoro niechętni ustawicznie mu przerywają. »To nie obrażaj!« zawołał Lykon. »Milczeć!« zawrzało z kilku stron. Straże, nie czekając na znak prytaneusa, poczęły stukać.

Sokrates mówił, że istotnie uczył. Ale chyba za mało. Uczył ludzi młodych. Ale powinien był uczyć starych, od nich zacząć, bo starzy mają pieczę nad pokoleniem dorastającem. Ci starzy zaś wprowadzili do miasta bardzo zły obyczaj. Oto od oskarżonego żąda się nie argumentów, nie wywodu słuszności, ale żeby się uniżył, żeby sędziów błagał. Powinien wprowadzić żonę i dzieci, powinien łzami udanemi twarz zalewać. Zaiste heljaści tego dziś nie zobaczą. Nie będzie ich wcale prosił o darowanie mu domniemanej winy.

Ten ustęp mowy wywarł na słuchaczach wrażeżenie nad wyraz ujemne. Jeden tylko prytaneus uśmiechnął się z zadowoleniem. Poznał starego druha Sokratesa! Taki był zawsze!... Ale heljaści byli dotknięci. Wywód słuszny, zanadto słuszny. Ale w słowach czuli pewną pogardę; albowiem ów zwyczaj istniał i na każdego heljastę rzeczywiście działał. Kapłan Feaks, który znał wszystkie słabostki obywateli, szepnął do Lykona:

— Gruba niezręczność.

Tu i ówdzie powstały szemrania. Straże tym razem nie stukały na uciszenie. Sokrates przerwał na chwilę, a wtedy powstał golarz Hippodamos i rzekł:

— Czy oskarżony nie ma nic więcej do powiedzenia?

— Jeszcze połowy tego nie wygłosiłem, co mi się koniecznem wydaje powiedzieć — odparł Sokrates.

Tu powstał Izokrates, bławatnik, i rzekł:

— W takim razie prosimy, aby oskarżony nie wyjaśniał nam heljastom naszych obowiązków!

— Słusznie, słusznie, słusznie — poszło rzędami.

Wtedy Sokrates podniósł głos i zawołał:

— Ależ zacni obywatele, umilknijcie! Macie przecież czas przemówić potem do mnie przedziurawionym bobem!

Była to gorzka przymówka. Toteż w teatrze powstał istny zamęt.

— Zuchwalec!

— Pyszałek!

— Precz z nim!

— Odprowadzić go do więzienia!

— Nie dać mu mówić!

— Przystąpić do głosowania!

Zwolennicy starca starali się uciszyć zgromadzenie. Ale to nie pomagało. Aż wreszcie prytaneus wstał, obrócił się do obecnych, wzniósł obie ręce. Straże zaczęły stukać. Nastała jaka taka cisza.

Ale to zajście podziałało także na samego Sokratesa. Mówił dalej wprawdzie równie spokojnie i dobrodusznie, jak przedtem, wszelako zjawiały się co chwila w mowie jego jakieś żądła, któremi kłuł dumę obywateli. Czuć było, co myśli: mieliście władzę zawlec mnie na tę oto mównicę i z władzy tej zrobiliście fatalny użytek. Tedy ja z onej mównicy będę was okropnie karał. Na waszą

zgubę odemknęliście mi tutaj usta. Do granic ostatecznych skorzystam z władzy, jaką daliście mi nieopatrznie. A co powiem, odbije się echem o góry najdalszych krain, przeleci morza, ozwie się na wyspach cyklad i sporad, aż na daleki brzeg Azji podąży!...

A głośno mówił dalej tak:

Zasada filozoficzna: umieć myśleć. Zasada polityczna: umieć żyć. Ateny jednak dokonały tej nadzwyczajnej sztuki, iż nie umieją ani myśleć, ani żyć. Atenom potrzeba nauczycieli życia. Słyszana to bowiem rzecz, aby ludzi, którzy w ciągu całego szeregu lat za ojczyznę w bitwach narażali życie, którzy poświęcili się dobru publicznemu, niby zwyczajnych złoczyńców ciągnąć do więzienia i sądzić za to, że chcieli w młode ludzkie latorośle szczepić zasady mądrości, powściągliwości. .

Tym zwrotem Sokrates do reszty popsuł sprawę swoją. Zawrzało do najwyższych rzędów. Ci, którzy przedtem milczeli, gdy chodziło o ich urazę osobistą, mogli teraz głosić, że oskarżony pomiata ojczyzną.

— Depce republikę! — krzyknął Hippias.

— Ateny nie umieją żyć!

— Więc oddać Ateny Spartańczykom a może lepiej Persom! — krzyknął Lizikrates.

Burzyło się więcej i więcej. Prytaneus dawał znaki, ale straże już nie stukały.

Trwało to bardzo długą chwilę, aż wreszcie

prytaneusowi udało się zaprowadzić ciszę połowiczną.

Sokrates zakończył krótko.

Gdyby kiedykolwiek popełnił zły uczynek, osądziłby go sędzia daleko groźniejszy, niż sąd pięciuset, wyznaczonych przez ślepy traf. Sędzią tym jest jego Dajmonium. Niechaj tedy heljaści odwołają się również do swego Dajmonium, a wyrok ich z pewnością będzie sprawiedliwy.

Powstał gwar, który jednak już nie przeszkadzał dalszym czynnościom. Przystąpiono do głosowania. Woźni obnosili urny. Każdy heljasta rzucał bob. Cały oznaczał uniewinnienie, przedziurawiony uznanie oskarżonego winnym dowiedzionej zbrodni.

Obliczanie głosów trwało dość długo. Anyitos, Lykon i Meletos czekali wyniku z naprężeniem. Natomiast Sokrates rozmawiał spokojnie z Simjaszem i trzeba mu było dopiero zwrócić uwagę, że straże stukają i że ma być ogłoszona pierwsza część wyroku.

Nastała głęboka cisza.

Prytaneus obwieścił, że Sokrates większością trzydziestu głosów został uznany za winnego.

Wyrok wywarł wrażenie tak silne, że nawet ci, którzy go pragnęli, nie mieli odwagi słowem się odezwać.

Sokrates zdumiał. Twarz jego przybrała dziwny wyraz. Prytaneus oświadczył mu, iż wedle

prawa może teraz wystąpić o zmianę kary na łagodniejszą.

Sokrates zabrał głos.

Ale od pierwszych słów czuć było w tym głosie piekielną ironję.

Oskarżyciele, mówił, żądają kary śmierci. Tej on się nie boi, uważałby ją raczej za dobrodziejstwo w tak sędziwym i na różne przypadłości narażonym wieku. Ale kara musi stać w jakimś stosunku do winy. Kara jest rodzajem zemsty. Nigdy nie starał się o wdzięczność ludzką, nigdy za wyrządzone usługi nie żądał wynagrodzenia. Zostanie tedy srogo ukarany, jeśli obywatele skażą go na wdzięczność. Przedkłada tedy, aby za nauki, jakie siał, został skazany na dożywotne korzystanie z publicznego stołu w prytanejonie...

Była to już poprostu obelga, rzucona w twarz heljastom. Mędrzec urągał wyrokowi. Powstała krótka wrzawa, ale natychmiast umilkła. Urągał osądzony; na tyle wielkoduszności zdobyli się Ateńczycy, iż po chwilowem wzburzeniu umilkli.

Ale Sokrates nie skończył. Właśnie otaczało go kilku przyjaciół i o coś błagalnie prosiło. Dał znak ręką, aby się usunęli i tak przemówił:

Wskutek rady młodych przyjaciół swoich, którzy wątpią równie jak on, czy pierwsza propozycja zostanie przyjęta, występuje z inną. Sam wprawdzie nic nie posiada. Ale oto ci młodzi przyjaciele chcą się złożyć. Więc ofiaruje za swoje ży-

cie z ich skarbca przyjacielskiego — trzydzieści min...

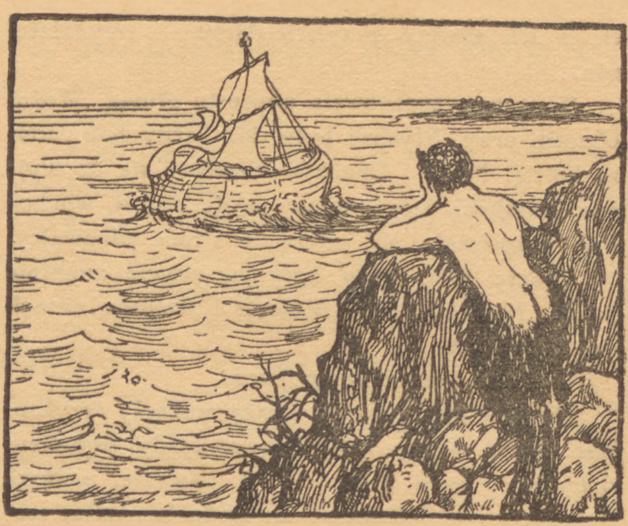
W teatrze zapanowała poprostu głusza. Woźni obnosili urny. Słychać było, jak każdy bob padał za koleją. Feaks i Chajeris skierowali się do wyjścia. Heljaści, którzy głosy swoje oddali, wychodzili pospiesznie, nie patrząc w stronę winowajcy.

Niższe dwa rzędy były już prawie zupełnie puste. Nawet Lykon, Meletos i Anyitos usunęli się za kolumny.

Unikano wzajemnie spojrzeń.

Po obliczeniu głosów straże stuknęły trzykrotnie. Śród niesłychanej głuszy, blady prytaneus drżącym głosem obwieścił, iż obywatel ateński, Sokrates, syn Sofroniksa, lat siedmdziesięciu, zostaje skazany na karę śmierci.

Wrażenie było tak przygniatające, że nikt z miejsca ruszyć się nie śmiał a śród głuszy, jaka w dalszym ciągu trwała, słychać było ćwierkanie dwóch wróbli, które we wzajemnej za sobą gonitwie zniżyły się aż nad głowy obywateli i stamtąd strzeliły w błękit, niknąc za Akropolem.



OKRĘT ŻYCIA.

Słońce zawisło nad zachodem. Ukośne promienie rzucały na morze blaski czerwone. Lekki wietrzyk wydymał wody, które na całej przestrzeni zatoki mieniły się niezliczoną ilością zwierciadełek dwukolorowych, czerwonych i modrych.

Całe pobrzeże Pireusu było natłoczone. Na wzniesieniu stali kapłani Apolina, kapłanki w szatach białych, archontowie, cała Rada ateńska, wszystkie urzędy. Na niskim trójnogu spiżowym przed starszym kapłanem płonęły kadzidła a dym biały unosił się w górę słupem wysokim, wyżej

przez lekki wiatr dartym na pierze, które znowu opadało na głowy tłumów, ale nie dolatując nikło w powietrzu.

Za wzniesieniem stały chóry i brzmiała pieśń uroczysta, która szła daleko na morze, mieniące się owemi kolorami krwi i modrości.

Tysiące spojrzeń sięgało daleko w ową mieniącą się przestrzeń wodną, aż na widnokręgu ukazał się okręt, widniejący z początku niby ciemna plama, ale zwolna rosnący, przybierający kształty wyraźne i barwy wyraźne.

Białe jego żagle były lekko wydęte. Od masztów szły purpurowe liny. Cały przód statku był przybrany wieńcami.

Na wzniesieniu stał w białej szacie kapłan a po lewej i po prawej rzędem siedmiu młodzieńców i siedm dziewic. Za nimi w głębi ustawiony był cały orszak śpiewaków, wróżów, straży zbrojnej i dostojnych pątników z urzędu.

Wtedy na wybrzeżu, które wyglądało niby wieniec półkolem zatoczony, tak barwny od szat i od tłumów, ucichła pieśń i nastała wielka cisza.

Natomiast w dali na morzu, tam na tym płynącym okręcie ozwał się hymn rozlicznych głosów, uroczysty, niby drugie morze, morze przelewających się tonów.

Każdy znał słowa tego hymnu, każdego one dreszczem wzruszenia radosnego przejmowały. Każdy, słysząc w dali tę muzykę, powtarzał w du-

szy słowa tego hymnu dziękczynnego, tego hymnu życia, zbawienia.

Trzy rzędy wioseł trącały miarowo ruchliwą przestrzeń wodną. Okręt zbliżał się uroczyście, powoli w powietrzu coraz wyraźniej rozbrzmiewał ów hymn.

. . . .

»Na Krecie Minos włada, potężny król. Na Krecie labirynt widnieje, gdzie miłość potworna się pleni, gdzie Pazifaa królowa zwierza wzięła w objęcia, poczwarę ciemnych przestrzeni Hadesu!

»Z miłości potwornej spłodzony szaleje Tauros w labiryncie, głodny wiecznie a tylko pożera młodzieńców nieletnich i młode pożera dziewice!

»I oto co dziewięć lat, co strasznych dziewięć lat Minos dla swego potwora żąda z Aten daniny. I oto co dziewięć lat siedmiu młodzieńców i dziewic przepięknych siedmioro śle miasto w dani na Kretę, gdzie smok je okrutny pożera.

»W żałobie całe Ateny co dziewięć strasznych lat. Trzy razy już okręt z daniną odpłynął do Krety. Trzy razy minęło po dziewięć, po dziewięć strasznych lat!

»I wtedy powstał bohater, Tezej siadł na okręt. Popłynął na Kretę i śmiało wkroczył do labiryntu krętych ścieżek i dróżek i murów i chodników, kolumnad, piekielnych świątyń, gdzie szalał potwór Tauros.

»Tezej zabił potwora, bo wspomógł dłoń jego Apollo. Zabił i zbawił Ateny od owej okropnej żałoby co dziewięć strasznych lat.

»Co roku za to wypływa okręt pątników pobożnych. Co roku siedmiu młodzieńców i siedm dziewic wyrusza. Płyną do Delos, składają bogu światła ofiary, że niema już żałoby co dziewięć strasznych lat.

»Cześć ci, o bohaterze, któryś łzy matkom osuszył, któryś starości ojców pogodę przywrócił!

»Cześć ci boże promienny, co dajesz życie ludowi, boże nadziei, zbawienia, szczęścia, uśmiechu, wesela!

»Płyniem przez morze, do naszej pięknej wracając ojczyzny. Zwiastujem z morza ku miastu, ku wzgórzom, dalom: nadzieję, życie, zwiastujem życie, życie...

»Życie ludowi zwiastujem...«

. . . .

Kiedy okręt rozśpiewany wpływał do przystani, na całem górzystem półkolu zawrzały okrzyki:

— Życie zwiastują, życie!

Matki, trzymające dzieciny na rękach, wyciągały prawice jakby oszalałe radością, jakby ów mityczny potwór ich własnym maleństwom groził. Tłumy dzieci oblegały wybrzeże, wywijając oliwnemi gałązkami, wrzawę podnosząc radosną. Zagrały trąby, zadźwięczały kitary, huk tympanonów warczał głucho. Słońce zniżało się coraz bardziej a purpurowe promienie wessały w siebie całą modrość wód, że została sama, wielka, tryumfalna czerwień.

Raz jeszcze przymilkły wrzawy, trąby i kitary.

Przy dźwięku lir zabrzmiał na przodzie okrętu uroczysty śpiew białobrodego kapłana:

— Życie zwiastujem, życie!

Po którym to śpiewie powstała burza krzyków uniesienia i w stronę tuż brzegu sięgającego okrętu padła ulewa róż, lilji, oleandrów, wieńców, zawiązek kwietnych a nawet przepasek kosztownych, szat przetykanych purpurą i maleńkich srebrnych figurek, wyobrażających młodzieńców i dziewice.

. . . .

Rzucono pomost i pokryto go dywanami. Z okrętu wyszedł kapłan Panetios. Feaks ruszył naprzeciw niego.

Powitali się.

W tej chwili byli prawie sami, gdyż tłumy rzuciły się do statku ku młodzieńcom i dziewicom, zasypując ich wedle zwyczaju hojnemi darami.

Panetios zapytał:

— Cóż Sokrates?

Feaks odparł:

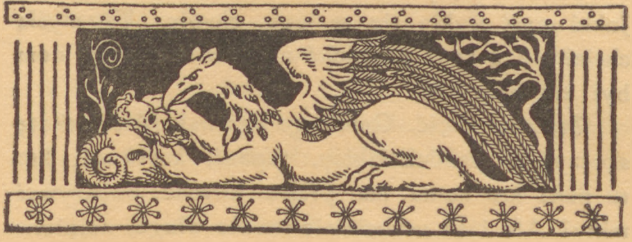
— W tej chwili mieszają dla niego cykutę, bo przybyliście i słońce zachodzi.

Panetios nie zrozumiał.

— Jakto, przybyliśmy?

— Boć przecież prawo zabrania nam sprzątać kogokolwiek w okresie waszej pielgrzymki do Delos. A także wykonywanie wyroków śmierci musi się odbywać po zachodzie słońca.

— Prawda, zapomniałem... Głupi zwyczaj!



PO WYROKU.

Zeno, sandalnik, wrócił do domu dość późno i w stanie trochę podnieconym. Od miesiąca wogóle pił nad miarę. Wskutek tego zaniedbał się nawet w rzemiośle swojem, z którego to powodu żona liczne czyniła mu wymówki. Należał do heljastów, którzy potępili Sokratesa. Córka Assja od dnia tego nie witała się z nim. Zeno udawał, że tego nie spostrzega.

I tym razem Assja, gdy ojciec przestąpił próg, nie ruszyła się od kołowrotka. Tylko na twarz jej wystąpiły silne wypieki, tylko brwi jej się zbiegły, tylko w ruch szalony wprawiła kołowrotek i iskrzącemi oczyma śledziła wijącą się nić.

Zeno siadł w kącie. Żona myła statki i także słowa do niego nie przemówiła. Sandalnikowi było ciężko. Wzdychał, popatrywał to na żonę, to na córkę a oczy jego zaszły mgłą.

Coś mu ciężyło. Jakieś brzemię siadło na piersi. Jakaś myśl tłukła się w jego głowie. Tą myślą chciał się z kimś podzielić a tu własny jego dom był mu obczyzną.

Zacisnął pięść. Gniew go ogarnął. Miał ochotę skoczyć na środek izbicy, tupnąć, krzyknąć: kto tu pan? kto komu ma prawo kwaśne pokazywać miny? Ale i to uczucie nie trwało długo, najpierw dlatego, że nie było słuszne, następnie może i z tego powodu, że żona mogłaby także tupnąć i krzyknąć: coś zarobił w tym tygodniu? Pokaż? Z czego będziemy żyli, jeżeli tak dalej pójdzie?

Zeno zamyślił się. Chciał tę fatalną ciszę domową przerwać w jakiś sposób, koniecznie przerwać. Pierwszy nie mógł wystąpić z jakiemiś krokami pojednawczymi, bo właściwie ze strony córki nawet wojna wypowiedziana nie była, utarczki żadnej nie stoczono, ot, tylko to głupie milczenie, to zapatrzenie się w warczący kołowrotek.

Córka na chwilę przestała, aby poprawić knot lampki. Nagle Zenonowi przyszedł chytry pomysł do głowy. Zainteresuje kobiety, same do niego przemówią.

Kiedy córka długą szpilką od włosów wyciągała knot z lampki glinianej, rzekł nagle:

— Dziś powrócił okręt z Delos.

Assja drgnęła i wstała. Popatrzyła na ojca. Następnie ukryła twarz w rękach i znowu usiadła.

Panowało długie milczenie.

Zeno ciągle śledził córkę. Żona wyszła z konwą po wodę.

Po chwili Assja wstała, odjęła ręce od twarzy a twarz była posępna i jakby skamieniała.

Zwróciła się do ojca i rzekła głosem drewnianym:

— Ojcze, powiedz jeszcze i to... Czy wyrok dziś został wykonany?

— Tak — odrzekł krótko Zeno i zaraz począł chrząkać.

Assja zachwiała się, siadła, ukryła twarz w rękach a łzy rzuciły się jej z oczu. Nie chciała, żeby je ojciec widział, całą mocą silnej natury swojej zwalczała szloch, ale on przychodził, możniejszy od niej, łamał ją, giął, że trzęsła się na całem ciele, oddechu nie mogąc zachwycić.

Ale w tej chwili sam Zeno wybuchnął rykiem płaczu.

Krzyknął:

— Assja!

Dziewczyna wstała, ukazała całą twarz zalaną łzami, skrzywioną spazmem płaczu i bólu, ściskała pięści dygocących rąk i spojrzała na ojca tak strasznym wzrokiem, że sandalnik runął jej do nóg i jak dziecko piszczał:

— Assja, jam niewinien, jam nic niewinien...

Pięści dziewczyny powoli się otwierały, twarz jej miękła, rozlała się na całem jej obliczu żałość. Klękła przy ojcu, wzięła w ręce jego głowę i poczęła całować.

Sandalnik dźwigał się z ziemi, objął córkę, ściskał, płakał jak dziecię utulenia żądne. Córka podniosła go, usadziła, wreszcie zaczęła go nawet słowem uspokajać a chustą twarz mu obcierać.

Tylko swoją twarz nieco od jego twarzy odchyliła, gdyż bił mu z ust wyziew wina.

— Więc dziś go uśmiercili?

— Dziś, córeczko.

— Kiedy?

— Zaraz po zachodzie słońca.

— W jaki sposób?

— Ot, jak zwykle. Podali cykutę.

Nowy atak płaczu skrzywił twarz dziewczyny. Zeno począł ją tulić, szeptać jej wyrazy najczulsze a potem mówił:

— Ot, skazaliśmy go... Stało się... A nikt nawet dobrze nie wie, jak się to stało. Bezbożny był, niema co mówić. Ale czy on jeden? Czy taki Agaton wierzy w naszych bogów? Nie wierzy, tylko sobie pocichu z tem jest. A taki Chajeris, Lizikrates, kto wie, sam Feaks? Strach mówić!

Córka nieco się uspokoiła. Zeno zniżył głos i mówił:

— Słuchaj Assja, ty podobno tam czasem zachodziłaś... Nie bój się, nic ci nie zrobię... Ale powiedz mi, czego on właściwie uczył?

Assja ocierając łzy zaczęła mu wykładać. Mówiła prosto i jasno. Sandalnik słuchał.

Mówiła mu o idealnej rzeczypospolitej. Mó-

wiła mu o Dajmonium. Zeno wielu rzeczy zrozumieć nie mógł. Ale natarczywie pytał o każdy szczegół. Nietyle zajęła go owa idealna rzeczpospolita, ile teorja o Dajmonium.

Ten głos wewnętrzny, który człowiekowi zawsze prawdę mówi, który go sądzi nieubłaganie, to mu niezmiernie trafiało do przekonania i do sumienia, bo od miesiąca spokoju nie miał. A czuł, że nocy dzisiejszej, owej pierwszej nocy, nocy śmierci, nocy spełnienia wyroku, tem mniej liczyć może na jakieś uspokojenie.

Wszystko jednak, co Assja mówiła o Dajmonium, koiło go. Już to, że się o tym wewnętrznym głosie dowiedział, sprawiało mu niesłychaną ulgę. Stawiał tedy córce nowe pytania, aż wreszcie, głęboko poruszony jej słowami, zawołał:

— Ależ to był dobry człowiek!

Zbił ręce nad głową, opuścił je i popadł w zadumę.

Córka jeszcze mówiła. Milkła i znowu sobie coś przypominała.

Nagle sandalnik wstał:

— Pójdź ze mną.

Assja popatrzyła na niego zdumionemi oczami. On zniżył głos, oczami gdzieś dokoła siebie wodził, wreszcie rzekł szeptem niemal:

— Pójdźmy bodaj na jego zwłoki popatrzeć. Księżyc świeci, jasno jest.

Zebrali się natychmiast i wyszli:

. . . .

Jest za Pnyksem grota w skale wykuta a wielkiemi żelaznemi kratami zamknięta.

Cichość dokoła i samotność. Tylko kilka cyprysów martwo wznosi strzeliste czuby swoje pod gwieździste niebo.

Przez kraty wlewa się do groty zielone światło księżyca i oświeca jakąś postać nieruchomo wyciągniętą na skórach.

U kraty stoi dwóch hyperetów na straży. Co chwila zbliżają się jakieś gromadki ludzi, popatrzą do środka, westchną a następnie, coś między sobą poważnie prawiąc, krążą dokoła, niekiedy nikną za cyprysami, to znowu wracają i patrzą.

Księżyc bieli za kratami głowę, rzadkim siwym włosem u skroni okoloną. Teraz zagląda także w oblicze, na którem spokój, martwość, pojednanie z światem.

Właśnie jakiś młodzieniec, przyczepiwszy się do kraty, jakby chciał ją przełamać, patrzy a szlocha. Obok niego stoi młoda dziewica, twarz ma zakrytą gęstą zasłoną. Hypereci, popatrzywszy na nich, coś między sobą poszeptali i nieco dalej odeszli.

Księżyc świecąc w twarz umarłemu, ukazywał każdy jej szczegół, wszystkie rysy występowały wyraźnie. Spokój i dobroduszność, spokój majestatyczny i dobroduszność wprost nieziemska malowały się na tem obliczu.

— Alkesta...

— Słucham cię...

— Zda się, że pierś podnosi mu się oddechem...
— Tak, zda się, że śpi tylko...
— Bo on rzeczywiście... śpi tylko.

. . . .

Panetios, który przyjął gościnę u Feaksa, jadł podczas wieczerzy za dwóch tłomacząc się, że morskie powietrze niesłychanie zaostrza apetyt.

Feaks był bardziej wstrzemięźliwy w jedzeniu, ale za to nie żałował sobie wina a Lykon umiał mu zawsze dogodzić najbardziej doborowymi gatunkami.

Rozmowa, jaką prowadzili starcy, stanowiła istny wzór dla tych, którzy chcą strzedz się wszelkich trosk, skracających żywot. Rozmawiano tedy o różnych smakowitych ptaszkach, których w Helladzie nie brakło, o różnej zwierzynie, której także było poddostatkiem, o różnych gatunkach owoców. Także opowiadano sobie różne zdarzenia wesołe, które do śmiechu pobudzały.

Usługiwał im jeden tylko niewolnik, który był jak pień głuchy.

Feaks od wielu lat kazał mu służyć do stołu, wiedział bowiem, że biesiada i trunek najbardziej ludzi skłaniają do niepilnowania języka.

Niewolnik był wysoki, chudy, jak cień. Przypominał nieco murzyna. Miał na twarzy zakrzepły kiedyś przed dziesiątkami lat wyraz ołowianego spokoju.

Właśnie Panetios opowiadał Feaksowi anegdo-

tkę o jakiejś naiwnej kapłance, która myślała, że krowy dają mleko a śmietankę byki, kiedy wszedł niewolnik i na srebrnym talerzu podał mu pismo.

Panetios podniósł je do oczu a następnie pochylił się ku lampce.

— Eh, z Delf — rzekł i pismo odłożył.

— Czytaj, — rzekł Feaks, — może jaka ważna wiadomość.

— A cóż za ważna wiadomość może być z Delf — zaśmiał się Panetios.

I z kolei opowiedział anegdotkę o kapłance, która chciała mu raz osadzić koguta w kojcu, aby wysiadywał jaja.

Jeszcze kilka innych anegdotek opowiedział, otwierając powoli pismo, czytając po dwa wiersze i odkładając.

Ale kiedy się nareszcie nieco dalej wczytał, poczerwieniał, krzyknął, że aż Feaks zerwał się z wezgłowia i siadł.

— Na Dzewsa, co się stało?

— Alkesta... córka moja... pisze mi kapłan Sigon... przed tygodniem znikła bez wieści!

Nastało milczenie. Panetios ujął głowę w obie ręce. Długo ważył myśli, aż nareszcie rzekł:

— Fatalne... ona mi zapowiadała, że ucieknie...

— Jakto i nie kazałeś jej pilnować?

— Powiedziała przed kilku laty. Sądziłem, że jej to wywietrzało z głowy, bo tak się przykładnie zachowywała!

Kołysał głowę w rękach i szeptał:

— Aj, aj, aj, aj.....

Feaks popatrzył na niego uważnie a po chwili rzekł:

— Boleję nad ciosem, jaki cię spotkał. Boleję tem bardziej, że dla ciebie, jako kapłana Apolina, jest to cios podwójny. Hańba taka! Może nakażą ci ustąpić z Delf!

Panetios podniósł się jak żmija a i wzrok miał jak żmija. Spojrzał nienawistnie na Feaksa i syknął:

— Zaraz inaczej śpiewać będziesz, gdy ci wszystko opowiem.

Feaks zbladł.

— Już ci się twarz mieni. Dobrze. Wiedz tedy, że Alkesta jest kobietą światłą, że przejrzała na wylot wszystkie nasze sprawy i że jeżeli teraz uciekła, to nie bez tego, aby krzyknąć całemu światu, co się u nas dzieje!

Feaks rzekł głosem grzmiącym:

— Będzie miała wzgląd na ojca, którego zgubi!

Panetios zaśmiał się brzydkim głosem i rzekł:

— Wzgląd... A czyśmy sami kierowali się jakimikolwiek względami?

— W takim razie każę ją natychmiast ścigać i po pojmaniu zamknąć w więzieniu.

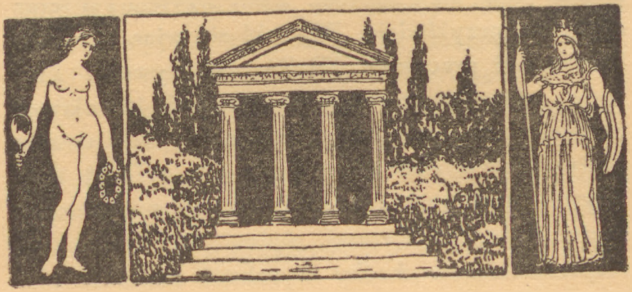
— Chyba, chyba — mruczał Panetios.

Feaks skinął na głuchego niewolnika i wydał mu rozkaz na migi.

Niewolnik oddalił się z tym samym ołowianym wyrazem na twarzy.

Panetios wciąż się jeszcze nie mógł uspokoić. Feaks zaczął chodzić dokoła wielkimi krokami. Znać było, że pilnie pracuje myślą. Panetios zaś szeptał:

— To zacięta dziewczyna... Niezwykła dziewczyna... No, Delf chyba jeszcze nie obali, ale może nam narobić wiele nieprzyjemności. A zresztą — kto wie? Mniej obawiałbym się, gdyby to był zbuntowany mężczyzna... Kobiety są w takich razach daleko niebezpieczniejsze. A byłoby zaiste szkoda Delf... Żyło się tam wygodnie, ludzie kajali się, znosili dużo, dużo pieniędzy...



ALKESTA.

Zeno stał się zupełnie innym człowiekiem. Z początku mniemano nawet, że mu się rozum pomieszał.

Bo kiedy w Rynku szył swoje sandały, albo milczał, albo rozpoczynał rozmowy na ton podniosły.

Mówił prosto i niezmiernie szczerze. A przedewszystkiem sam siebie oskarżał. Twierdził, że wyrok, na który oddał swój głos, był zwykłem morderstwem.

Rozpowiadał o mistrzu, o jego naukach, o prostocie jego skromnego życia, o pięknym wpływie na młodzież. Z początku żartowano sobie z niego, ale potem zaczęto mu się baczniej przysłuchiwać.

Treść tych rozmów przenosiła się od sklepiku do sklepiku i niebawem obiegła wszystkie kramy Rynku. Zapalny umysł ateńczyków łatwo się przej-

mował złem, ale i dobrem. Zeno przytem żył teraz ogromnie przykładnie. Wyrzekł się wina zupełnie, bardzo był pracowity. Wielkie zaś wywołał wrażenie, gdy razu pewnego opowiedział, iż Sokrates z wszystkich obowiązków za najwyższy uważał posłuszeństwo dla praw ojczystych. Toteż gdy Kryton chciał mu ułatwić ucieczkę z więzienia, mistrz sfukał go i został, śmierć wybierając nad nieposłuszeństwo choćby wyrokowi nawskróś niesprawiedliwemu.

W ogóle zaszła zmiana w życiu całego domu Zenona. Assja, aczkolwiek dziewica bez zarzutu, późną nocą wychodziła z domu sama i ojciec żadnych jej za to wymówek nie czynił. Owszem, nieraz przed świtem sam drzwi jej otwierał, gdy zastukała.

Wszędzie odbywały się jakieś tajne schadzki, za miastem, w Pireusie, niekiedy na Lykabecie.

Razu pewnego Assja przyprowadziła do siebie na noc jakąś dziewicę i przestrzegła matkę, aby o tem nikomu słowem nie wspomniała.

Około północy zastukano do drzwi. Zeno, który był we wszystko wtajemniczony, nie otwierał. Wyszedł tylko na dach i uważnie popatrzył, kto dom jego nawiedza.

Schylił się w dół i szepnął:

— Chajrefont?

— Tak — odpowiedziano mu z dołu.

Zszedł tedy z dachu i otworzywszy drzwi,

wpuścił przybysza do przedsionka. Sam jednak najpierw wyjrzał na uliczkę, czy jeszcze kto gdzie nie stoi a dopiero wtedy drzwi zaryglował.

Wróciwszy do izby, siadł w kącie na tapczanie, wsparł głowę i patrzył ku rozmawiającym.

Assja stała wsparta o ścianę, Chajrefont siadłszy czoło w rękach zatopił. A owa dziewczyna, która na noc do nich przybyła, stała w środku izby i mówiła do nich.

Lampka stała za nią. Przeto cała jej postać tworzyła ciemną plamę. Mówiąc podnosiła niekiedy rękę jak retor wobec tłumów. Pierś jej falowała. Subtelne rysy nabrały wyrazu niesłychanej energji.

Zeno wpatrywał się w nią niemal nabożnie.

Delfy nie schodziły jej z ust.

Opowiadała o zwyczajach, jakie tam panują, o sposobieniu kapłanek i o sposobieniu pierwszej wróżki. Wyliczała je kolejno z imienia, czem się trudniły, jakie spełniały obowiązki, jak je kapłani zaprawiali do układu twarzy, postaci. Przedstawiła z największą dokładnością wszystko, co przechodzili pątnicy od pierwszej chwili do ostatniej, jak ich gotowano do uroczystego momentu wróżby, jak podczas tego zręcznie ich badano, aby wydobyć potrzebny do orzeczeń materjał, gdzie i w jaki sposób chóry rozstawiano, jak się to wszystko odbywało, gdy ktoś dużo płacił, a jak, gdy mało płacił.

Zeno słuchając tego, zżymał się niekiedy. Bo aczkolwiek był już myślą zupełnie wyzwolony, wszelako te wszystkie szczegóły oszukaństw świętych wciąż i wciąż nowe światło rzucały na całą sprawę. Dziewczyna niby z latarką w ręku oświetlała norę za norą tej wspaniałej marmurowej jaskini, czczonej przez całą Helladę, Archipelag, pobrzeża Azji, Europy a nawet przez licznych cudzoziemców.

Potem dziewczyna opowiadała o wróżbie, tyczącej Sokratesa. Jak orzeczenie wyroczni zamówiono z Aten, ile za nie zapłacono, z jakim niezwykłym przepychem je wtedy wygłoszono. I Sokrates uwierzył...

Gdy wieść o tem do niej doszła, szarpała na sobie tunikę z rozpaczy. Liczyła na niego, na jego niezwykłą przenikliwość. Ale Sokrates był dobry i przez głowę mu nie przeszło, aby podobne oszukaństwa były możliwe.

Wie, kto go przestrzegał. Był czas, że zupełnie zwątpiła w mistrza. Sądziła nawet, iż jest małym człowiekiem.

Aż pewnego razu otrzymała od swej przyjaciółki z Aten odpis jego Apologji. Przeczytała ją i zdumiała.

I zrozumiała natychmiast, że ogrom oszustwa był tak wielki, iż nawet człowiek, jak Sokrates, dał się wziąć na ów święty lep, ukryty w majestacie ciszy rosochatych dębów.

Dobyła pergamin i odczytała ostatni zwrot mowy mistrza na dowód, jak głęboki był to umysł.

Zeno poruszył się. Dziewczyna mimowoli spojrzała ku niemu.

Wtedy on poprosił ją, aby całą tę mowę odczytała od początku do końca.

Dziewczyna popatrzyła na niego uważnie a potem skierowała pytające spojrzenie na Assję. Ta spuściła oczy.

Tedy zbliżyła się do lampki i zaczęła czytać powoli, równo, głosem monotonnym. Zeno niekiedy przerywał jej i czynił swoje uwagi, dawał uzupełnienia, pewne ustępy w ogóle kwestjonował a dziewczyna na pergaminie robiła znaki paznokciem.

Niekiedy, gdy około domu dawały się słyszeć jakieś kroki, milkli i nasłuchiwali.

Tak spłynęła im prawie cała noc aż do rannego brzasku.

Wtedy Chajrefont pożegnał się a Zeno wyprowadził go. Zeno poszedł zdrzemnąć się na dach a dziewczyny ułożyły się spać w izbie.

. . . .

Pomimo wszelkich tajemnic i ostrożności imię Alkesty coraz częściej pojawiało się na ustach obywateli.

Niebawem cały Rynek mówił o niej, aczkolwiek strzeżono się, gdyż jakieś podejrzane oso-

bistości jęły się wszędzie kręcić, podsłuchiwać rozmowy, znikać nagle. Zdarzyło się nawet, iż razu pewnego nocą Feaks i Anyitos z kilkunastu niewolnikami dobijali się do mieszkania Zenona i koniecznie wejść chcieli do środka. Zenon wpuścił ich. Ale gdy potem wychodzili z wielkim wstydem, sandalnik bynajmniej słów nie żałował. Nazajutrz zaś postarał się, iż o tem głośno w całym Rynku mówiono.

W ogóle niechęć do Anyitosa rosła w Rynku z każdym dniem. Nie mniej do Lykona i Meletosa. Poezji tego ostatniego, księgarze wcale już nawet przyjmować nie chcieli. Lykon wywędrował z miasta.

. . . .

Przyjaciele Sokratesa krzątali się tymczasem żywo po różnych miastach. Liczne Apologje krążyły z rąk do rąk. Naliczono około trzydziestu wersji, znacznie różniących się od siebie. Ale każda działała, każda porywała. Wszelako ukrywano je starannie.

Aż zdarzył się wypadek następujący:

Pewnego ranka, gdy wrzało na Rynku zwykłe, bujne życie, do kramiku księgarza zbliżyła się młoda dziewczyna i głośno zażądała odpisu Apologji Sokratesa.

Księgarz położył palec na ustach, wyrzucił swoje »yh!« i szeptem błagał »szanowną obywatelkę«, aby go nie gubiła.

Ale dziewczyna na cały głos odpowiedziała mu, że odpisy tej niezwykłej mowy powinny być wystawione na widok publiczny, aby je każdy miał sposobność nabywać.

Księgarz zatkał rękami uszy i chciał cofnąć się w głąb swego kramiku.

Tymczasem około dziewczyny pojawił się cały szereg młodzieńców, którzy jęli się głośno domagać odpisów Apologji.

Przy kramiku księgarza utworzyło się tedy małe zbiegowisko.

Wołania »Apologji!« rozlegały się coraz głośniej. Księgarz, który w głębi kramiku miał ukryte drzwiczki, posłał żonę do archonta.

W kilka chwil zamiast niego pojawił się Anyitos na czele zastępu uzbrojonych hyperetów.

Anyitos, szybko rozsunąwszy tłum, przypadł do dziewczyny i krzyknął:

— Alkesta!

Dziewczyna obejrzała się.

— Brać ją — zawołał Anyitos do hyperetów.

Ale tu nagle wyrósł mur pleców młodzieńczych i dziewczynę zasłonił. Powstała utarczka. Zbiegowisko rosło z każdą chwilą.

Dały się słyszeć szemrania, klątwy a nawet pogróżki.

Wtedy owa dziewczyna, rozepchnąwszy broniących jej młodzieńców, wyskoczyła na marmurową

ławę, idącą kołem w obwód wodnicy i zawołała mocnym głosem do ludu:

— Ateńczycy! Dopókiż będziecie znosili mężobójców nad sobą? Dopókiż będą wam przerządzali w pięknem waszem mieście ludzie, którzy wszelkie światło ducha chcą zdusić plugawemi swemi rękami? Za nic męstwo ofiarne, za nic prawdziwa mądrość! Trazybul ujść musiał z Aten, Sokratesowi podano czarę z trucizną! Ateny, gdzie wasza wolność?

Gromki okrzyk ludu był odpowiedzią na te słowa. Już wszędzie błyskały oczy, wznosiły się pięści. Cały Rynek zbiegł się dokoła wodnicy. Chajrefont przypadł do dziewczyny, stanął przed nią z nożem w ręku, bo już hypereci ramiona ku niej wyciągali a Anyitos krzyczał:

— Brać ją! Od rodzonego ojca z Delf uciekła, skalana, shańbiona dziewczyna!

Wtedy Alkesta uniosła rękę w górę a tunika, która zdarła się w tłoku, opadła jej w tej chwili tak, iż część łona została obnażona.

— Ateńczycy — zawołała męskim niemal głosem a oblicze jej pałało uniesieniem nadzwyczajnem. — Uciekłam od ojca oszusta i z świątyni oszustów! Ale patrzcie na to łono, taką pierś ma tylko dziewica! Ten, który zabił Sokratesa, chce teraz zdeptać cześć jego wielbicielki!

— Precz Anyitos, precz! — zawrzał tłum tysięczny.

Anyitos zbladł. Ale nie był to człowiek, który łatwo ustępował.

Krzyknął:

— Ojciec jej jest w mieście, posłać po niego do mego domu. Dla córki najwyższa władza — rodzic!

Ale Alkesta zawołała:

— Obywatele, ten człowiek kłamie! Wy jako szlachetni ojcowie przytwierdzicie mi, że dla córki najwyższa władza — prawda!

— Prawda ci najwyższą władzą, obywatelko! — krzyknął Zeno z tłumu a wnet cały Rynek zerwał się burzą okrzyku:

— Precz Anyitos, precz Anyitos!

Hypereci dobyli broń.

Alkesta zawołała:

— Patrzcie, Ateńczycy! Prawda i wolność tego człowieka jest albo na dnie czary trucicielskiej, albo na końcu bratobójczego miecza!

Tłum, niby przestrzeń morska nagłym podmuchem wiatru rozkołysana, ruszył się. Podmuchem tym były słowa Alkesty, która, wciąż stojąc na wodnicy z piersią obnażoną, była zdawna dojrzałą myślą i uczuciem tego całego zebranego tłumu. Niby Dajmonium nowe, w kształt kobiety zaklęte, widniała nad głowami obywateli, uniesiona, silna. Tłum, który kupił się dokoła niej, wierzył w nią teraz, patrzył na nią jak na swego wodza, czekał nowych jej słów, czekał poprostu skinienia tej ręki

wzniesionej, aby się rzucić na Anyitosa i hyperetów i jak fala po wątłym piasku przejść po nich.

Przed drżącym z gniewu Anyitosem zjawiła się w tej chwili inna Alkesta, jego bratanica.

— Stryju, ustąp! — rzekła do niego silnym głosem. — Twoje czasy skończyły się.

Anyitos, zupełnie nad sobą nie panując, chwycił ją nagle za ręce, rzucił na kamienie i kopnął.

Ale niby ryś raniony skoczył ku niemu Chajrefont z nożem w ręku, któremu krzyknęła nad głową stojąca na wodnicy Alkesta:

— Pomścij ją!

Lecz jeden z hyperetów zdążył z boku chwycić Chajrefonta za rękę, drugi wyrwał mu nóż, trzeci rzucił go o ziemię.

Wtedy Alkesta z wodnicy zawołała;

— Obywatele! Śmierć mordercy Sokratesa!

To była ostatnia kropla, dolana do puharu. Zakotłowało się w Rynku. Zaczęły latać kamienie, tłum z gołemi rękami rzucił się na otaczających Anyitosa hyperetów. Bluznęła pierwsza krew a popłynęła z piersi starego sandalnika Zenona, który jakby umyślnie na miecz wystawiony się rzucił. Rozległ się okropny krzyk Assji, która runęła na zwłoki ojca.

To jeszcze bardziej rozjątrzyło tłumy. Z okrzykiem: »Śmierć mordercom Sokratesa« rzucono się na ów niewielki, ale uzbrojony oddzialik hyperetów, który, cofając się ustawicznie, zasłaniał Anyi-

tosa. Co chwila jakieś stalowe żądło wpijało się w nacierający tłum, co chwila ktoś padał z jękiem na kamienie. Nareszcie skupiono się u wylotu małej uliczki. Hypereci w dwa rzędy ustawieni powstrzymywali napór tłumów, a Anyitos, widząc za sobą wolną drogę, rzucił się do ucieczki. Po chwili hypereci zostali złamani. Tłum z wrzawą niesłychaną pogonił za Anyitosem.

Dobiegli do jego domu. W moment otoczono go ze wszystkich stron. Tłum niby fala wlał się różnemi drzwiami. Ale Anyitosa nigdzie nie było.

— Zburzyć dom mordercy! — zawrzało w tłumie.

Wnet też pojawiły się drągi, sztaby żelazne, poczęto tłuc mury, rozbijać drzwi, niszczyć wewnątrz wszystkie sprzęty. Z rujnowanego domu dźwignęła się chmura kurzawy, która wysoko wzbiła się nad inne domy a nawet nad czuby wiecznie spokojnych cyprysów.

. . . .

Anyitos zdążył był dopaść konia i cwałem uciekał z miasta. Ukrył się w Heraklei. Ale gdy w kilka dni później doszły tam wieści o wypadkach ateńskich, tłum obywateli napadł go i ubił kamieniami.

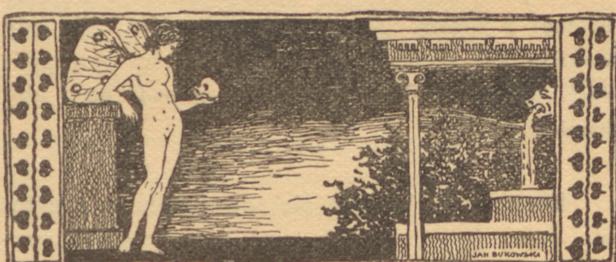
. . . .

Rozjątrzona ludność nie poprzestała na zburzeniu domu Anyitosa. Tak samo rzucono się na mar-

murową willę Meletosa. Jego samego powleczono do sądu, w ciągu kilku godzin potępiono i stracono.

Jeden Lykon nie stał się pastwą powszechnego oburzenia. Dom swój i skład win sprzedał. Gdzie przebywał? Nikt nigdy nie mógł się dowiedzieć. W żadnem z miast helleńskich nie spotkano się z nim.

Po tych dziełach burzycielskich pierwszym czynem twórczym ze strony ateńczyków było postawienie marmurowej hermy Sokratesowi w cichym gaju cyprysowym w pobliżu Stadjonu, gdzie mędrzec prawił młodzieży obojga płci o wewnętrznym głosie i o owej idealnej rzeczypospolitej, która miała uczynić Ateny pierwszem miastem całego roztocza ziemi-karmicielki.



TREŚĆ.